Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z życia niedźwiedzi.

Pan A. Krementz, nadleśniczy w Przygodzicach, należących do dóbr Radziwiłłowskich w gubernii Mińskiej, wydał świeżo w Berlinie dzieło p. t. „Der Bär“. Mieszczą się w nim bardzo ciekawe spostrzeżenia z życia niedźwiedzi, relacye z polowań i przygód z niedźwiedziami, których nie można podejrzywać o brak wiarygodności, gdyż autor, przebywając przez dwanaście lat w tym, że się tak wyrazimy, mateczniku niedźwiedzim, jakim są jeszcze dotychczas knieje Radziwiłłowskie, powoływany do kierowania polowaniami na niedźwiedzie, miał wielokrotnie sposobność czynić osobiste spostrzeżenia i podpatrzyć „bartnika“ litewskiego we wielu ciekawych chwilach jego życia.

* * *

Oto relacye pana Krementza o młodych latach niedźwiedzia.

„Niedźwiedzica koci się między 1. grudnia a 10. stycznia, rzadko wcześniej, a czasem kilka dni później. Przy pierwszem koceniu się wydaje zazwyczaj jedno lub dwoje młodych, później troje, a w późniejszych latach chwieje się liczba młodych między dwojgiem a trojgiem i dochodzi czasem do czworga. W zimie r. 1870—71. odebrałem wielkiej bardzo niedźwiedzicy własnemi rękami p i ę c i o r o młodych. Był to drugi taki wypadek, jaki się w ciągu 50 lat wydarzył. Rzeczona niedźwiedzica, sądząc po zębach, mogła mieć około 14 lat, była bardzo złośliwa i kilkoro ludzi ciężko poturbowała.

U starych niedźwiedzic spada znowu liczba młodych; wydają ponownie tylko po jednym niedźwiadku, czasem po kilka lat nie grzeją się, a w końcu przestają się kocić. Na podstawie spostrzeżeń, czynionych na ubitych niedźwiedzicach, pozwalam sobie przypuszczać, że rok 16. do 18. jest owym wiekiem, w którym niedźwiedzica grzać się przestaje.

Młode, zaraz po urodzeniu, są popielatawo-żółte i nie bywają większe od szczura. Włos na nich jest dość gęsty, do skóry przystający, na brzuchu i po bokach nieco rzadszy. Już po kilku dniach zmienia się barwa sierci, staje się brunatną, przyczem włos rośnie prędko, gęstnieje i nabiera charakteru kudłów. Biała obrączka („owróżka“) na szyi ciągnie się ku górnej części łopatek i dzieli się widłowato, tak iż jeden jej koniec sięga aż po za uszy, drugi zaś zachodzi nieco w tył na kark i znowu się ku przodowi zagina. Ten rysunek białej obrączki ulega jednak różnym odmianom. Łączenie się obu końców obrączki na karku trafia się bardzo rzadko; zawsze bywa ona niezamknięta. Lecz zdarza się także, iż niedźwiadki nie miewają tej obrączki. I tak n. p.

ze wspomianych pięciorga młodych, trzy tylko miały obrączkę, u dwojga natomiast nie było jej ani śladu.

Długość nowo narodzonego niedźwiadka, wraz z wystającym na pół cala kuprem, wynosi 10 cali. Zęby są jeszcze niewidoczne lecz tylko białemi plamkami w dziąsłach naznaczone. Krótkie, zaokrąglone słuchy są z obu stron nagie, toż samo podeszwy łap, z wyjątkiem szpar między palcami, które aż ku połowie podeszwy delikatnym meszkiem są porośnięte. Pazury są zupełnie wykształcone, od nasady czerwonawo-żółte, dalej lśniąco-białe. Ślepie są jakiś czas zamknięte. Czaszka, po za głęboko osadzonemi ślepiami, odznacza się wpadającemi w oczy półokrągłemi wypukłościami, których u dorosłego niedźwiedzia wcale się już nie spotyka, lub tylko bardzo rzadko. To też nowonarodzone niedźwiadki nie robią wcale wrażenia groźnych mysiów, lecz rosną bardzo prędko i już po sześciu tygodniach przybierają postać zupełnie wykształconego niedźwiedzia w miniaturze. Są one wówczas bardzo pocieszne i krotochwilne, przywiązują się łatwo do człowieka, bywają bardzo ciekawe, obwąchują rzecz każdą, ćwiczą się pilnie we wspinaniu, a bawiąc się, staczają ciągłe zapasy.

Podpatrzyć młode niedźwiadki wraz matką na wolności — to rzecz bardzo trudna. Przecież udało mi się to pewnego razu w zimie r. 1871. Niedźwiedzica leżała w dość otwartem miejscu, na łomie, który tylko od północy i wschodu krzakami był osłonięty. Był to jeden z tych spokojnych, jasnych, przepięknych dni zimowych, jakie się w Litwie przy końcu stycznia trafiają. Niedźwiedzica miała troje młodych; leżała na grzbiecie, z głową nieco wzniesioną, i igrała z jednym z niedźwiadków, który, wspiąwszy się na tylne łapy, usiłował wydrapać się jej na brzuch. Dwa inne termosiły się ostro na śniegu, wydając ze siebie basowe pomrukiwania. Ze sosny, na którą się wydrapałem, aby móc lepiej scenę tę obserwować, oderwała się przypadkiem i spadła mała gałązka. Szmer ten posłyszała niedźwiedzica i wydawał jej się podejrzanym. W tej chwili zerwała się i poszła kilka kroków ku sośnie, podczas gdy młode, porzuciwszy swe zapasy, posiadały zgodnie obok siebie na legowisku. Przynajmniej przez trzy minuty stała niedźwiedzica jak skamieniała, z głową zwróconą ku sośnie, poruszając od czasu do czasu słuchami; nareszcie zwróciła się napowrót ku barłogowi i położyła się koło młodych, które natychmiast ssać poczęły. Nie była jednak całkiem spokojna; trzymała głowę wysoko i od czasu do czasu rzucała ślepiami w stronę, skąd ją doszedł szmer spadającej gałązki.

Siedziałem nadzwyczaj cicho, aby jej znowu czem nie spłoszyć. To też w końcu uspokoiła się, poskrobała się kilka razy tylną łapą po żebrach, rzuciła jeszcze oczami na młode, przewróciła się wreszcie całkiem na bok i zaczęła spać. Wtedy niedźwiadki przestały ssać, przytuliły się do siebie tuż koło matki i także zasnęły.

Niedźwiedzica pozostaje z młodymi dłużej w gawrze niż niedźwiedź, który zazwyczaj z pierwszem zniknięciem śniegów „budę rozwala“ i na żer wychodzi. Samica nie podejmuje w ogóle dalszych wędrówek z młodymi, lecz buszuje całemi tygodniami i miesiącami w okolicach gawry, przyczem uczy młode wspinać się na drzewa, i w ogóle zaprawia ich do różnych fortelów w wyszukiwaniu i chwytaniu zdobyczy. Dopiero gdy młode podrosną, wzmocnią się i staną się wytrzymałymi na trudy podróży, puszcza się z nimi w dalszą drogę.

Obrawszy sobie jakąś ostoję na dłuższy pobyt z młodymi, uważa się w niej niedźwiedzica za wyłączną władczynię. Argusowem okiem śledzi ona wszystko, co się w pobliżu niej dzieje, czuwa bez wytchnienia i stawia opór człowiekowi, jeśli chce wejść w granice zajętego przez nią państwa.

Tak n. p. na wiosnę roku 1873. zajęła niedźwiedzica z dwoma piastunami pewną przestrzeń lasu nad gościńcem warszawsko-moskiewskim i stała się w końcu postrachem wszystkich, którzy się odważyli puścić drogą, wiodącą przez ów las w bok od gościńca. W skutek licznych skarg udałem się na miejsce i wkrótce ujrzałem oba piastuny niedaleko drogi, na dębie. Ćwiczyły się one niezmordowanie w spinaniu się i złażeniu, a skoro mnie ujrzały, zemknęły szybko na ziemię. W tejże samej chwili wypadła już na mnie niedźwiedzica, lecz wstrzymała się, zoczywszy trzy wielkie psy, którem wziął ze sobą dla bezpieczeństwa. Z gniewnym pomrukiem zapędzała się parę razy, to znowu niknęła, aż w końcu, zabrawszy młode, cofnęła się z nimi głęboko w las.

Inna niedźwiedzica, mająca troje młodych, usadowiła się na wiosnę r. 1876. tuż koło toru kolei żelaznej, wiodącej z Mińska do Berdyczowa. Pewien chłop, nie wiedząc nic o tem, poszedł za drzewem w tę część lasu i nagle ujrzał się oko w oko z rozjuszoną niedźwiedzicą. Wyciągnął siekierę z za pasa i oganiając się nią przed napastnicą, cofał się krok za krokiem. Wtem potyka się na pniaku i pada na ziemię. Skorzystała z tego niedźwiedzica i wpadłszy na leżącego, tak go łapami obiła i pazurami poszarpała, że w trzy dni potem ducha wyzionął. Podobne wypadki trafiają się w lasach Radziwiłłowskich niemal co roku, choć nie zawsze kończą się tak tragicznie.

Jest to rzecz szczególna, że, o ile niedźwiedzica staje z niesłychaną odwagą w obronie piastunów, o tyle obojętną bywa na niebezpieczeństwo, grożące jej młodym, jeśli jeszcze nie są zdolne ruszać się i iść za nią.

Tropiąc niedźwiedzie lub polując na nie, trafia się często spotkać niedźwiedzicę, która się niedługo przedtem okociła. Otóż sam hałas polowania wystarcza już zazwyczaj, iż niedźwiedzica taka ucieka i porzuca swe niedołężne młode. Że zaś już do nich prawie nigdy nie powraca, giną one marnie. Są atoli i takie wypadki, że niedźwiedzica nie opuszcza legowiska, staje w obronie swych niezdolnych do ucieczki młodych i mężnie odpiera ataki człowieka.

Niejeden Poleszuk umie o tem coś opowiedzieć, niejeden nosi pamiątkę w postaci wielkiej blizny lub opłacił swą chęć zabrania niedźwiadków wiecznem kalectwem.

Pewnego razu posłałem w styczniu, nazajutrz po strasznej śnieżycy, sprytnego i ostrożnego leśnego, ażeby podpatrzył co robi niedźwiedzica, którą podejrzywałem, że ma zamiar zmienić swą ostoję i wymknąć mi się wraz z młodymi. Leśny wykonał dane mu polecenie i wyszedłszy z lasu, wracał już spokojnie ku wsi, gdy wtem niedźwiedzica napadła go z tyłu, przewróciła i okropnie poturbowała.

Było to dnia 28. grudnia 1876. Pewien chłop wyjechał do lasu po siano, mając na furze nieodstępnego bryśka. Gdy chłop siano nakłada, począł bryś po lesie biegać, aż wreszcie stanął i naszczekuje. Chłop, ciekawy, coby to było, zbliża się ostrożnie do psa, ale zemknął czemprędzej, ujrzawszy na 60 kroków przed sobą kudłaty łeb niedźwiedzia, który się z śniegu podnosił. Skoczył na wóz wraz z bryśkiem, a zaciąć konie i wrócić do wsi — to była rzecz jednej chwili. Opowiedział sąsiadom radośną nowinę, że w lesie jest niedźwiedź, i dopiero we trzech wybrali się na polowanie. Jeden stanął z flintą po za dębem, inni dwaj zaś

starali się niedźwiedzicę obejść, żeby ją na uzbrojonego flintą towarzysza nagonić. Wtem niedźwiedzica, która miała dwoje świeżo rzuconych młodych, wpada niespodzianie na stojącego za dębem myśliwca, powala go o ziemię, gryzie aż do kości w plecy, nogi i szyję i poczyna go łapami tłuc niemiłosiernie. Na krzyk napadniętego, umknął jeden z naganiaczy, drugi zaś, były wojak, przybiegł jeszcze na czas, aby celnym strzałem powalić zwierzę, pastwiące się nad ledwie żywym już towarzyszem.

Jeśli niedźwiadki są w tym wieku, że mogą już za matką biegnąć, choć nie są jeszcze wstanie wyżywić się same — a bywa to zazwyczaj w czwartym miesiącu ich życia — to matka przywiązuje się do nich bardzo i broni je częstokroć z prawdziwem bohaterstwem. Gdy jednak młode wyrosną na „piastuny“, tj. takie niedźwiadki, które już i wędrówki odbywać i same się wyżywić umieją, ale zawsze jeszcze matce towarzyszą i aż do przyszłego lęgu pod jej rozkazami stoją, to już niedźwiedzica nie wiele się o nie troszczy. Trafiło mi się, żem niedźwiedzicy rocznego piastuna tuż przed nosem ubił, i zdawała się tego wcale nie odczuwać.

Wychowanych w niewoli niedźwiadków, które już same żrą i żer sobie wynaleść potrafią, jest bardzo trudno się pozbyć. Stają się one prawie domowemi zwierzętami i nie chą domu porzucać. Wywiezione na parę mil w las i tam zostawione, umią odnaleźć drogę z powrotem, a idąc za śladem tego, który ich wywoził, wracają do domu, lub błąkają się bez celu po lesie, przyczepiając się do przechodzących przypadkowo ludzi, a nieraz giną nawet z głodu. Pewnego razu trzy sześciomiesięczne niedźwiadki, które w worku do lasu wywieziono i na trzy mile od mieszkania porzucono, wróciły do domu, odszukawszy drogę przez bagna i rzeki. Okazały one swą radość tem, że nad ranem, wyrwawszy okna z ramami w domostwie, gdzie były podchowane, wgramoliły się mrucząc radośnie na ciepłe swe legowisko.

Porzuciwszy raz chowanego niedźwiadka w lesie, wylazłem na olchę, rosnącą w wodzie, i przypatrywałem się, co będzie robił. Otóż rozerwawszy worek, w którym był zawiązany, siedział mój myś jakiś czas spokojnie i bacznie rekognoskował okolicę, w której się znajduje. Nagle, z nosem przy ziemi, mrucząc, począł biegać tam i napowrót, dopóki nie zwęszył mego tropu. Rzucił się za nim, wpadł do wody, lecz tu, straciwszy dalszy ślad, podniósł się na tylnych łapach i począł formalnie jęczeć i płakać. Wrócił ponownie na polankę, zatoczył w biegu wielki łuk, a dostawszy się pod wiatr, podniósł nagle mordę i mimo wody posunął wprost ku olsze, na której siedziałem. Usiłował się do mnie wydrapać. Cóż było robić? Musiałem go zabrać z powrotem do domu.

Pewien rzeczywisty profesor smorgońskiej akademii zapewniał mnie, że raz jeden z jego czarnych słuchaczy, którego był przyjacielowi podarował, wrócił do niego z ośmiomilowego oddalenia, aby dalej sztukę tańca uprawiać.

Piastuny, wprowadzone na świeży trop starych niedźwiedzi, obwąchiwały go nadzwyczaj ciekawie, okazując przy tem pewien niepokój, szły jakiś czas za tropem, lecz wracały wkrótce. Wprowadzone po raz drugi na taki trop, nie zwracały już nań uwagi. Trop łosi nie czynił na nich żadnego wrażenia, za tropem rysia natomiast szły ochotnie i dość daleko. Spotykane tropy zająca, lisa i tchórza obwąchiwały tylko, lecz zresztą nie zwracały na nie uwagi. Szelest wzlatującego jarząbka przestraszał je bardzo, a z poważną i zdziwioną miną przypatrywały się jego lotowi. W skutek strzału do jarząbka uciekały z trwogą. Skokom wiewiórki przypatrywały się ciekawie, siedząc, poczem biegły ku temu miejscu, gdzie wiewiórka na ziemię zeskoczyła, a wspinały się na pień drzewa, na które znowu uciekła. Największe wrażenie wywarł na nie trop psa, z którym żyły w przyjaźni. Na wzór gończaków biegły za tym tropem i nie spoczęły, dopóki się z ulubionym towarzyszem nie złączyły.“

* * *

„Nadzwyczajna siła, którą się niedźwiedź odznacza, spoczywa w jego krótkiej, silnej szyi, szerokich piersiach, muskularnym karku i w potężnych, silnie rozwiniętych łapach przednich. Jednem uderzeniem łapy powala on wołu na ziemię, łapami i pyskiem zdoła nadzwyczajne ciężary dźwignąć i ciągnąć. Raz, niedźwiedź, wydający ostatnie tchnienia, łamał jeszcze ku przerażeniu otaczających go drągi sosnowe o średnicy 3 do 4 cali jak źdźbła słomy. W jesieni r. 1867. ubił niedźwiedź krowę nad brzegiem potoku. Na ryk jego, przybiegł pastuch. Wtedy myś chwycił przedniemi łapami drgającą jeszcze krowę, i dźwignąwszy ją wysoko w górę, poniósł ją tak, ku zdumieniu przerażonego pastucha, przez potok aż do lasu, gdzie spożył część zdobyczy, a resztę nakrył gałęziami.

W rewirze Czuczewice trafiło się, że duży łoś, prawdopodobnie przez niedźwiedzia ścigany, wpadł w jeden z tych głębokich, namułem zapełnionych dołów, któremi odznacza się stare koryto rzeki Łań. Leśny nadybał go tak aż po szyję w błocie pogrążonego i tylko jeszcze przedniemi badylami zapierającego się o brzeg. Gdy siły jednego człowieka na nic się nie przydadzą, ażeby takiemu kolosowi dać radę, powrócił leśny czemprędzej do wsi, o milę oddalonej, ażeby zabrać innych ludzi i przyjść z nimi łosiowi na ratunek. Przyszli istotnie, ale łosia już nie zastali; pognieciona wszakże i błotem zawalana trawa, oraz liczne ślady farby wskazywały, że ktoś łosia z dołu wyciągnął i dalej powlókł. Puszczono się za śladem i w oddaleniu półkilometrowym przydybano mysia, który zdobycz swą rozszarpywał, żywiąc się smacznym łosim udźcem. Otóż przypuściwszy, że łoś ważył co najmniej 350 kilogramów, można ocenić, jakiej siły było potrzeba, ażeby go z głębokiego dołu wyciągnąć i tak daleko zawlec.

Niedźwiedź żywi się w potrzebie i ścierwem, jeśli jest jeszcze świeże i nie przeszło w zgniliznę. Gdy przed kilku laty zaraza między bydłem panowała, padła pewnemu handlarzowi bydła w czasie pędzenia go przez jeden z tutejszych rewirów kilka sztuk dużych, ukraińskich wołów. Otóż dwa mysie przywłaszczyły sobie parę tych kolosów, zaciągnęły je z gościńca w las, tam przykryły je gałęziami i dopóty się niemi co nocy żywiły, dopóki ścierwo nie zaczęło cuchnąć. Gorzej przydarzyło się niedźwiedziom w r. 1873., gdy między bydłem grasowało nagminne zapalenie śledziony. Straszna ta choroba, przeniesiona prawdopodobnie przez muchy, pojawiła się i pomiędzy łosiami, tak, że kilka z nich jej uległo. Do padliny takiej dobrały się niedźwiedzie i padły ofiarą swego łakomstwa. Znaleziono je nieżywe nad brzegiem wody, gdzie prawdopodobnie gasiły pragnienie, które je pożerało.

Niedźwiedzia nie można w ogóle nazwać okrutnym i krwi chciwym. Gdyby był kwiożerczym, miałby codziennie sposobność folgować swej dzikości, a zważając na jego nadzwyczajną siłę, należałoby w ogóle wziąć pod rozwagę czyby go nie wypadało jeszcze bardziej tępić. Nie jest mi jednak wiadomy ani jeden wypadek, ażeby myś, spotkawszy

przygodnie człowieka, miał się na niego dla zaspokojenia głodu rzucać. Przeciwnie, najczęściej umyka, albo w poczuciu swej wyższości nie zwraca wcale uwagi na mizerną kreaturę ludzką, i co najwięcej, objawia swą niechęć ku niemu mruczeniem i krótkiemi, pozornemi napadami. Niedźwiedź bywa owszem z natury dobroduszny, jakkolwiek nigdy nie należy mu ufać; szczególniej nie lubi aby go drażnić i chwilę spoczynku gwałtownie mu przerywać. Z natury jest powolnym flegmatykiem. Lubi nadzwyczaj wygódki, a napady jego cechuje pewna otwartość, jawność, rycerskość, nie mająca nic wspólnego z tchórzostwem mordercy u wilka, lub zdradziecką skrytością rysia. Rozwija nawet czasami właściwy mu humor łotrowski.

Pewnego razu urządzili chłopi obławę na nadzwyczaj wielkiego niedźwiedzia, który z powodu swej niesłychanej siły stał się postrachem całej okolicy. Gdy się pojawił na linii strzelców, ten i ów bał się zmierzyć do okrutnego zwierza. Kudłacz zatem, widocznie stary wyga, który już niejedno przebył i z ludźmi miał do czynienia, poczuwał się do wdzięczności wobec tak względnych strzelców, pobiegał więc po linii, tu i owdzie kryjącego się za drzewem Poleszuka nastraszył i dość niezgrabnie wcisnął do śniegu, nikogo jednakże mocniej nie poturbował i w końcu zniknął w lesie.

Było to w lipcu 1872. r. Pewnego poranka spotkałem w lesie dużego niedźwiedzia; szedł on przez młodnik sosnowy i pod kątem prostym zbliżał się ku drodze, którą jechałem. Zobaczywszy go, zatrzymałem konie i wysiadłem, lecz na kudłaczu nie wywarło to żadnego wrażenia; szedł dalej z całym spokojem, a zatrzymawszy się na drodze, stał przez chwilę, wreszcie położył się i z widocznem zadowoleniem tarzał się w piasku. W końcu zerwał się nagle, otrząsnął z piasku, spojrzał na mnie z ukosa, zamruczał krótko, obrócił się i poszedł dalej swoją drogą, zwracając ku mnie wzrok od czasu do czasu, jak gdyby z wyrazem pogardy lub niedowierzania.

Jużto podejrzliwości nigdy się niedźwiedź nie pozbywa, stanowi ona czerwoną nić jego postępowania i charakteru. Kto się kiedykolwiek niedźwiedziom na wolności przyglądał, a jeszcze bardziej kto niedźwiadki dłuższy czas chował i wiele się nimi zajmował, nie mógł nie zauważyć, z jaką podejrzliwością śledzi niedźwiedź każdy ruch człowieka, jakto on, na pozór obojętny, przecież z podełba każdy krok podpatruje, a gdy się człowiek do niego zbliża, na bok lub w tył uchylić się stara. Każdy podejrzany mu przedmiot usiłuje niedźwiedź wyminąć, a nieraz się zdarza, że podczas gdy leśny obcina legowisko mysia, aby się o jego pobycie przekonać, podejrzliwy myś ze zwej strony śledzi leśnego, krok w krok za nim idzie i dopiero wtedy do barłogu powraca, gdy się przekonał, że człowiek już odszedł i że mu od niego żadne niebezpieczeństwo nie grozi. W ten sposób — a było to w lutym r. 1878. — kontrolował niedźwiedź dzień po dniu wszystkie ruchy leśnego, aż do chwili, w której tenże knieję opuszczał, przyczem stawał na brzegu lasu i dopóty do legowiska nie wracał, dopóki leśnego całkiem z oczu nie stracił. Ta niewykorzeniona podejrzliwość jest też powodem, dlaczego największe nawet przywiązanie mysia do człowieka jest tylko czczą mrzonką; ona to sprawia, że niedźwiedź nie odwdzięcza nigdy starań i pieszczot człowieka, i nieraz w ciągu tych pieszczot daje człowiekowi poznać siłę swych łap i pazurów.

Miałem niedźwiadka, który całemi miesiącami chodził za mną jak pies, przybiegał na mój głos, dawał mi się głaskać i pieścić i zdawało mi się, że już nie żywi ku mnie żadnej nieufności. A przecież pewnego razu, bez najmniejszego powodu, wpadł na mnie jak szalony i chciał mnie na seryo poturbować.

Postępowanie kudłacza, właśnie ze względu na tę nieuleczalną podejrzliwość, nie da się nigdy przewidzieć i obliczyć, i dlatego też zupełne obłaskawienie niedźwiedzia jest zdaniem mojem niemożliwe, a na polowaniach na niedźwiedzie trzeba się mieć bardzo na baczności.

Przypadkowe spotykania się niedźwiedzia z człowiekiem, który n. p. zbiera jagody, grzyby, lub po drzewo do lasu wyjdzie, kończą się zazwyczaj dość niewinnie. Kudłacz zapędzi się, postraszy mruczeniem, czasem łapą niegrzecznie pogłaszcze i przewróci, lecz najczęściej sam zaraz ucieka. W ogóle nie okazuje on wielkiej odwagi, wyjąwszy, gdy jest naciśnięty, na polowaniu przez psy i ludzi osaczony, i gdy mu z niemiłego położenia wyrwać się potrzeba. Wtedy rzuca się odważnie na człowieka, przewraca go i stara się zostawić mu pamiątkę silnych swych pazurów.

Niedźwiedź przyzwyczaja się bardzo do miejsca, w którem się rozgościł, i nie opuszcza go, chyba przymuszony. Jeśli w kniei, gdzie przebywa, następują jakieś zmiany częściowe wyręby, zakładanie fabryk i t. p., to nie wiele na to wszystko zważa, byle w obranym ostępie wprost nie był niepokojonym, a szczególniej, żeby miał spokojną gawrę na zimę.

Gdy została wybudowaną linia kolejowa z Wilna do Berdyczowa przez Życin, jeden z najgłówniejszych rewirów niedźwiedzich, przypuszczano, że to wystraszy kudłaczy i opuszczą ulubioną swą ostoję. Tymczasem inaczej się stało. Jak pierwej tak i teraz używają niedźwiedzie kniei tuż przy linii kolejowej na letnie swe mieszkanie, przechodzą niemal co dzień przez szyny, nawet podoba im się czasem wzdłuż szyn uganiać i porą zimową tuż obok toru gawrę zakładać.

Poleszuki mają w ogóle wielki respekt przed niedźwiedziem. Łatwo to pojąć, gdyż powtarzające się co roku nieszczęśliwe przygody z niedźwiedziami, będące niemal zawsze wynikiem niedbalstwa i braku ostrożności, nie przyczyniają się do zmniejszenia strachu przed niedźwiedziem. Strach ten podtrzymują zresztą okropne opowiadania o niedźwiedziach z dawnych czasów. A przecież więcej ma przychylności Poleszuk dla mysia, niż dla wilka, tego okrótnego, skrytego a krwiożerczego wroga zwierząt i ludzi.

Rzekłem powyżej, iż niedźwiedzia nie można nazywać okrótnym i krwi chciwym. Trafiają się jednak wypadki, które każą przypuszczać, że bywają i między niedźwiedziami indywidua bardzo drapieżne.

W październiku 1868. roku nadybał leśny niedźwiedzia, który był tem zajęty, że zagryzłszy niedźwiedzicę i spożywszy już część tejże, zakopywał resztę. Uwiadomiony o tym wypadku, udałem się natychmiast na wskazane miejsce. Pobojowisko niedźwiedzie znajdowało się w rzadkim borze sosnowym i przedstawiało w istocie straszny widok. Jucha i kudły pokrywały ziemię, i widoczne były tu i owdzie na pniach sosen. Miejscami była ziemia głęboko zryta, wskazując, jak straszną stoczono tu walkę. Cielsko niedźwiedzicy leżało strasznie poszarpane; głębokie rany od pazurów i zębów pokrywały je wszędzie, z szyi, grzbietu i szarawarów wyrwane były całe kawały i pożarte. Dwie złamane łapy świadczyły, że niedźwiedź musiał także ciężkie odebrać razy. Tylna część kadłuba była już prawie w ziemię zakopana i lekko gałęziami przysuta. Przy zdejmowaniu skóry z niedźwiedzicy okazało sią mnóstwo ciężkich zgnieceń i zadrapań.

Co mogło być przyczyną tak zażartej walki, trudno zgadnąć. Daleko na okół nie można było wykryć żadnego przedmiotu, któryby do niej mógł dać powód. Zawartość żołądka nie wskazywała, by miały się toczyć spory o żer; pora roku nie była zresztą potemu.*) Coś podobnego wydarzyło się było także w październiku roku 1871., tylko, że w tym drugim wypadku zamordował niedźwiedź niedźwiedzia, nie pożarłszy atoli nic ze zwłok przeciwnika. Powodem walki był spór o upolowaną sztukę bydła.

Niedźwiedź jest właściwie drapieżcą nocnym. Szczególniej w gorącej porze letniej nie wychyla się za dnia z barłogu swego i nie lubi w upały chodzić. Leży też od 9. rano do 5. lub 6. po południu w cieniu jakiej sosny, lub w ogóle w chłodnem schronisku leśnem, zmienia też barłog, i raz tu, to owdzie na spoczynek zachodzi, gdzie mu w danym razie bliżej. W dni pochmurne lub słotne skraca czas dziennego spoczynku, okazuje się żwawszym, i dopiero około godziny 11. zachodzi do barłogu, a o godz. 3. po południu już go opuszcza. Gdy się podniesie, idzie najprzód do wody, czy to jest strumyk lub rzeka, źródło lub kałuża, gdzie mu najdogodniej. W dnie gorące czyni to i kilka razy dziennie, aby ugasić pragnienie i ochłodzić się. Jeśli nie natrafia na przeszkody, poi się i chlapie bardzo regularnie, i w ogóle ostoi swej letniej nie zmienia, dopóki ma podostatkiem wody. Tylko w razie dłuższej posuchy, jeźli z braku deszczów źródła i moczary powysychają, porzuca obraną ostoję, ciągnąc za wodą w sąsiednie, hojniej w wodę uposażone okolice, ale wraca natychmiast, gdy pora posuchy minie. Czasami zaś, gdy wody zabraknie, odbywa odległe wycieczki do jakiejś strugi czy jeziorka, i zawsze nad ranem do barłogu swego powraca.

Zanim niedźwiedź uzna za konieczne ostoję swą dla braku wody porzucić, szuka najpilniej, czy nie ma gdzie wody w pobliżu. Włóczy się wówczas niepewnie to tu, to tam, z wywalonym ozorem, grzebie w każdem zagłębieniu, w każdem moczarku, aby się wody dogrzebać, i pod wpływem pragnienia tak dalece zapomina o swem bezpieczeństwie, że się do mieszkań ludzkich przybliża, usiłując tam pragnienie ugasić.

W czasie skwarnego lata r. 1875.. pewnego popołudnia, pojawił się niedźwiedź ku wielkiemu przerażeniu mieszkańców w pewnej wsi, napoił się u studni, położonej w pośród chat, a pokrzepiwszy omdlewające siły, wrócił spokojnie do pobliskiego lasu, nie troszcząc się o szczekanie psów i krzyk ludzi, którzy za nim z widłami i cepami biegli.

W codziennych swych wycieczkach jest niedźwiedź nadzwyczaj ostrożny, chód jego jest przezorny i wcale nie pospieszny. Usłyszawszy coś podejrzanego, albo zmyka telepiąc szybko, albo staje i rzuca ślepiami w około, zwraca tu i owdzie głowę, porusza słuchami, przyczem szęstokroć przysiada. Gdy mu przedmiot jakiś wydaje się podejrzanym, nie odwraca od niego ślepi, podnosząc głowę i wyciągając szyję, przebiega szybko przed nim lub mrucząc kołem go obiega, ale ciągle stara się z oka go nie tracić.

Niedźwiedź jest bardzo ciekawym. Cokolwiek znajdzie, obraca na wszystkie strony, obwąchuje i przygląda się bardzo gruntownie. Od czasu do czasu wspina się na wysokie drzewo i z wierzchołka rozgląda się ciekawie po okolicy. Lubi przewracać łomy drzewne i polować pod niemi na poczwarki i robactwo, rozgartywać mrowiska i jaja mrówcze z nich wyjadać. Ztąd przezwisko jego „mrownik“ albo „mrowiarz“. Przy tych wycieczkach trzyma się zazwyczaj raz wydeptanych ścieżek, i jeśli coś nadzwyczajnego w drodze go nie spotka, pojawia się na nich regularnie o pewnej godzinie, tak, iż doświadczeni niedźwiednicy są wstanie podać, gdzie o której godzinie myś upatrzony się pojawi. W miejscach, gdzie jagody obficiej rosną, zatrzymuje się dłużej, pożera owoc chciwie i odwiedza te miejsca dzień w dzień, dopóki tylko jagody są na krzakach.

Niepodobna iść krok w krok za niedźwiedziem w czasie jego codziennych wycieczek, niepodobna podpatrzyć wszystkich szczegółów jego czynności i zachowania się, a przypadkowe nadybywanie go lub umyślne wyczekiwanie na ulubionych przez niego stacyach, jak n. p. przy pojeniu, są stosunkowo zbyt krótkiemi chwilami z jego życia, kryjącego w sobie niejednę jeszcze tajemnicę. Więcej poucza śledzenie świeżych jego tropów po rosie lub szronie. Oto wynik jednego takiego badania.

Kudłacz średniej wielkości przeszedł wcześnie rano przez łąkę, obrócił leżący na brzegu tejże nieokorowany pień sosnowy, rozgrzebał tu i owdzie ziemię z pod niego, szukając owadów i poczwarek, poodrywał miejscami korę z pnia, który tam już dwa lata leżał, i z naciętych przez owady trocin wyjadał tłuste pędraki koziorogów lub szeliniaków. Dalszy swój pochód przez las zaznaczył rozdrapywaniem zbutwiałego liścia, rozrzucaniem mrowisk, odłamywaniem kory, obracaniem drzewa ściętego, wreszcie objadaniem czernic, borówek i grzybów. Na niektórych miejscach wzruszał głębiej ziemię, rozrzucał świeży pomiot łosi i biegł pewną przestrzeń za ich tropem, potem szedł po łomach, skoczył ztamtąd widocznie za jednym czy kilkoma jarząbkami, jakto wskazywały zgubione w szybkiej ucieczce pióra, i zwrócił się znów ku tej ostoi, zkąd wyszedł. Tutaj ściągnął puste gniazdo drozda z leszczyny, usiłował pazurami i zębami rozszerzyć dziupło starego dęba, ażeby się dostać do barci. która się w środku mieściła, jadł znowu czernice, obwąchał okno do jamy borsuczej, a potem biegał tam i nazad po małej polance leśnej. Bliższe badanie tych gimnastycznych ćwiczeń wykazało. że wśród bujnej trawy na polance znajdował się obficie pomiot młodych cietrzewi, że więc myś za tropem ich uganiał.

Z polanki tej udał się nasz bartnik przez bagnistą olszynę, wszedł do starej sośniny, tutaj knocił, okorował uschłą sosnę i grzebał pod jej korzeniami, wreszcie siadł na ziemi, a oparłszy się przedniemi łapami, widocznie kiwał się na boki, gdyż świadczyły o tem mocno pazurami przednich łap wygniecione ślady. Wyruszywszy ztąd przeszedł przez polankę, która była hreczką obsiana, i wszedł w niżej położoną część lasu, gdzie były znaczne składy ściętego drzewa przesunął się pod korzenie obalonej sosny, a przełażąc przez wywróconą osikę, pośliznął się i dość głęboko zarył brzuchem w moczar. Na koniec zwrócił się ku położonej wyżej gę-

---

*) Niewytłumaczony dla autora powód walki znaleźćby można w analogicznym a bardzo ciekawym wypadku, jaki się wydarzył Konstantemu Pietruskiemu z niedźwiedziami w niewoli chowanemi. K. Pietruski (Hist. nat. zwierzęt ssących dzikich galicyjskich. Lwów 1853. str. 32) tak go opowiada:

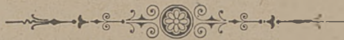
„W listopadzie 1846. r. wydarzył się okropny szczególny wypadek: dozorca mojej menażeryi, mając drzwi zepsute w budzie niedźwiedzia naprawiać, otworzył zasuwę do siwej niedźwiedzicy. Samiec wszedłszy do jej budy, zaczął jej się tak natarczywie zalecać, że go aż ukąsiła; ztąd zaczęła się okropna, straszna walka, bo walka na śmierć między dwoma 10-letniemi ogromnemi niedźwiedziami. Chcąc ich rozłączyć, lano do budy wodę, rzucano ogień, lecz nic nie pomogło; przerażający to był widok, straszny ryk, pryskanie i taki tentent, że się aż cały domek na podwalinach swoich trząsł; nareszcie przemógł srogi niedźwiedź i rozdarłszy tej samicy brzuch, wyjadł jej wątrobę, poczem spokojnie do swej budy wrócił.“ *(Prz. Red.)*

stwinie sosnowej i zniknął tam, tak, iż dalej wędrówki jego nie śledzono.

Z powyższych obserwacyj wypływa, że niedźwiedź nie gardzi wcale ptactwem, i że bezwątpienia niejedna cieciorka, niejedna samica głuszcza, jarząbka, a nawet słonka i kaczka, siedząc na gnieździe, stają się łupem łakomego mysia. Jakoż pewną część pogniecionych i powypijanych jaj, które częstokroć przy próżnych gniazdach ptaków tych znachodzimy, należy na rachunek bartnika zapisać.

Pewnego razu leśny strzelił do tokującego głuszca. Trafiony ptak poleciał jeszcze na pewną odległość i dopiero spadł na ziemię. Gdy leśny poskoczył, aby zdobycz swą podnieść, zdziwił się i przeraził niepomału, gdyż tymczasem chwycił głuszca niedźwiedź i trzymając go w pysku, wynosił się w głąb lasu."

Oto najbardziej zajmujące ustępy z dzieła pana Krementza. Nie ma zapewne miłośnika łowiectwa, któryby ich nie odczytał z prawdziwą przyjemnością. *St.*



MYSI ROK.

Pojawienie się myszy w tak mnogiej jak w zeszłym roku liczbie, nie jest rzeczą nową. Co pewien przeciąg czasu, powtarza się to najście od lat bardzo dawnych, jak to stare kroniki stwierdzają.

Mysz polna, straszny nieprzyjaciel rolnika, nie wadzi wcale łowiectwu, a nawet przeciwnie, niejako mu pomaga. Zamyśliłem przeto, o ile zdołam, skreślić bliżej obyczaje tego ze wszechmiar ciekawego zwierzątka. Mysz polna, a raczej myszy polne, gdyż należy tu mysz zbożowa *(Mus agrarius)* i nornik polny *(Hypudeus arvalis)* pod wielu względami odmiennne są od myszy domowej.

Mysz zbożowa, krótkoucha, należy jeszcze do rodziny myszowatych *(Muridae)*, ale nornik polny, którego już do rodziny nornikowatych *(Arvicolidae)* zaliczają, samym już kształtem zewnętrznym różni się od całego licznego zastępu zwierzątek tego gatunku. Nóżki jego krótkie, osobliwie przednie, dość grube i w duże opatrzone pazurki, co im ułatwia grzebanie nor (jamek). Międzypalce wszystkich czterech nóżek wypełnia jak u wydry lub norki błonka, a to ułatwia nornikom, w czasie ich wędrówki, przeprawę przez pomniejsze rzeki. Uszka ich krótkie, wewnątrz włosem porośnięte, o wklęsłych jamkach, niemniej są darem matki przyrody, w czasie bowiem przeprawy przez wodę, podobna budowa otworów usznych chroni je od łatwego wciśnięcia się wody wewnątrz. Pyszczek ich tępy, główka stosunkowo do tułowiu duża, budowa w karku gruba, silna, to wszystko przy grzebaniu nor znacznie im robotę ułatwia; w miększym albowiem gruncie wiercą tym silnym ryjkiem ziemię. Dodam, że budowa ich uszu i porośnięcie ich otworów włosem, nie dozwala i miałkiej ziemi dostawać się do ich wnętrza. Ogonek nornika polnego znacznie krótszy, niż go posiada cały liczny zastęp tego gatunku. Nawet chodem, osobliwie w pospiechu, różni się nornik od reszty współplemieńców. Gdy albowiem mysz domowa przy najmniejszym pospiesznym kroku skacze, czyli „kica" — nornik polny bieży czyli „cieknie" lub drobi truchcikiem. Wyłącznie trzyma się pól. nigdy nie wchodzi do domów mieszkalnych, stajen, magazynów, a nawet lasów. W ostateczności tylko, gdy wyszedł nagromadzony w norze zapas zboża w ziarnie, przechowany na zimę — lub gdy takowe w skutek długotrwałych słót zrosło i tem samem na pożywienie stało się całkowicie niezdatnem, głód zmusza nornika polnego do szukania schronienia w wnętrzach stert. stogów zbożowych, a nawet stodół i szop. W gryzieniu nor w twardo uleżanych snopach jest on mistrzem. Ostremi i silnemi ząbkami „strzyże" jak wszystkie gryzonie słomę wzdłuż snopa — i ma już ciepłą norę, a co najważniejsze, dostatnie pożywienie i ochronę przed licznymi nieprzyjaciołmi, jak lisy, jastrzebie, włochacze i t. p. Ma on jednak i w tem bezpiecznem schronisku srogiego nieprzyjaciela: łasicę kasztanowatą i białą. Smukłe te a cięte zwierzątka, wcisnąwszy się w norę mysią, tak w ziemi jak i w słomie zrobioną, tępią je tam bez litości. Naocznie się o tem przekonałem.

Przed laty był podobnie mysi rok. W czystem polu. zdala od wsi, stała duża sterta owsa. W miesiącu kwietniu, gdy ją rozbierano celem zwiezienia do wymłócenia — dziwną rzecz spostrzegłem. W spodnich osobliwie warstwach co snop, to wyschnięty trup mysi. A było ich mnóstwo. U samego spodu sterty, w t. zw. „poddeniu" czyli podściółce słomianej pod stertą, natrafiono na kilkanaście gniazd łasic białych; w niektórych były nawet i młode łaski. Gniazda owe sporządzone były z samej mysiej sierci; w niej jakby w edredonowej pościeli wylęgały się młodziutkie te zwierzątka.

Mnogość mysich trupów — żywej nie było ani jednej – oraz mnogość i obszerność gniazd łasic wyraźnie świadczyła o gromadnej w stercie bytności myszy, z których łasice jedne wycięły, a reszta się wynieść musiała.

Czy nornik polny jest miejscowym? Zdaje mi się, że nie. W roku 1887. w całym kraju nie było słychać o wielkich ilościach myszy. Zkądże, jak w niektórych miejscowościach na Podolu galicyjskiem, zjawiły się w znacznej liczbie w miesiącu lipcu, a w następnych miesiącach w okolicy Złoczowa, w Bełzkiem, dolnem Brzeżańskiem i w okolicy Lwowa? Przywędrowały. A zkąd? Z sąsiedniej Ukrainy, Pobereża. Ale i w owych miejscowościach jest nornik polny przechodowym. Zjawia się w pewnych latach i znika, t. j. wędruje dalej.

Jak niegdyś Tatarzy perekopscy szlakami, które wiodły swem przestronem międzyrzeczem, pomiędzy Dniestrem a Bugiem, nachodzili Ruś i Polskę, tak niemal temi samemi szlakami, na obszernych, do tej pory nie uprawianych stepach Perekopu, wywiodłszy się w krociowej liczbie, nornik polny, gdy przyjdzie nań ta dotąd nie zbadana chęć wędrówki, rusza naprzód, trzymając się niewolniczo kierunku od Wschodu ku Zachodowi. Prawdopodobnie do oboru tego kierunku zmuszają go owe szerokie i głębokie rzeki Dniestr i Bug, których przebyć niepodobna tak małym jak one stworzeńkom. Przez pomniejsze rzeczki, przerzynające owo międzyrzecze, łatwiej się im dostać. Wędrówka norników pol-

nych jest wyjątkową i chyba z wędrówkami Leminga norwegskiego może iść w porównanie. Dobrowolnie żadne inne czworonożne zwierzę nie opuszcza swych miejsc rodzinnych. Wypłoszona z ostoi sarna, zając z kotliny, lis gdy mu norę rozkopią, odbieżą od kniei rodzinnych milę lub dwie i, co najczęściej, tamże powracają, lub zostają w swej nowej siedzibie. Dla tych to przyczyn, że się tak wyrażę, przyrodzonego wstrętu zwierząt czworonożnych do wszelkich dalekich wędrówek, rozprzestrzenianie się, a względnie pojawianie się pewnego gatunku zwierzyny łownej w miejscach, gdzie jej przedtem całkowicie nie było jest tak powolne.

Ta peryodyczna wędrówka nornika polnego jest zaiste rzeczą bardzo ciekawą i nie łatwą do zbadania. Gdy przyjdzie czas — prawdopodobnie w skutek niezmiernego rozrostu — opuszcza pewna ich część, niby rój pszczelny barć rodzinną, swe ciepłe i, co bardzo lubią, suche stepy Perekopu i ruszają do sąsiedniego Zaporoża. Ztamtąd na Ukrainę, Podole, Wołyń i dalej, gdzie tylko głębokie a bystro płynące duże rzeki lub wysokie pasma gór nie tamują pochodu. Wszystkie te ziemie swem równem położeniem, chlebnością ról, objawiającą się niezliczonemi stertami i stogami zbożowemi, są niejako dla tych zwierzątek błogosławioną krainą, w której im żyć tylko. A przecież wyższy jakiś rozkaz zmusza je do porzucenia owej ziemi obiecanej, i każe im ruszać naprzód, ku uboższym ziemiom i — ostatecznie po pewnym czasie zaginąć.

Gdy przyjdzie peryod tej nakazanej przez przyrodę wędrówki, nornik polny opuszcza czyli znika na Pobereżu, Ukrainie, części Podola, i niespodziewanie zjawia się w pewnej okolicy, na przestrzeni kilkudziesięciomilowej, i to niemal doraźnie w bardzo znacznej liczbie. Dziwi się rolnik lub przechodzień, zkąd naraz wzięło się tyle nor mysich. Czy one jak bałwany rzek wezbranych szybko przestrzenie rolne zalewają? Lub może stosownie do rozmiaru swego ciała i drobności kroku, powolnie ale wytrwale naprzód krocząc, czemraz szerszą zajmują przestrzeń? Jabym twierdził, że falanga ta obyczajem wszystkich zwierząt nocą tylko wędruje. Gdy pewna ich część przyzostaje na pewnej przestrzeni, reszta naprzód dąży tak długo, pokąd wszystkie nie znajdą dogodnego miejsca na siedziby i gnieździska.

A gdzież kres podróży norników polnych?

Podgórze stryjskie po za Dniestrem leżące i Przemyskie za rzeką Sanem. W okolicach gór samborskich, stryjskich i sanockich nie znają mysich lat. Główną temu przyczyną rzeki i bystre strumienie, przerzynające owe okolice. A najważniejsza górskie skaliste położenia, których nornik polny jak najstaranniej unika.

Przyrodnicy utrzymują, że falangę pieszej szarańczy poprzedzają małe zastępy tych owadów, będące rodzajem kolumn rekognoskujących. Wysłanki te obierają drogę ile możności równą, suchą, niepoprzerzynaną większemi rzekami — a co najważniejsze, obfitującą w żer. Za owemi kolumnami, w pewnem oddaleniu, postępuje reszta żarłocznej rzeszy. Gdy braknie żeru, lub wysłanki złą, bo głodną wybrały drogę, w braku pożywienia mocniejsza szarańcza pożera słabszą, hołdując dewizie: „Siła przed prawem“.

Szarańcza piesza jak i skrzydlata wędruje tylko po dniu — przeciwnie nornik polny, pochody swe odbywa tylko w porze nocnej.

Bardzo naturalne, że przy drobnym kroczku tych zwierzątek, przez jedną noc niewiele mil ubiedz zdołają. Ztąd łatwo sobie wytłumaczyć, że podróż ich z zarodowych, że się wyrażę, stepów kipczackich i t. p. aż ku Galicyi, lata całe trwać musi; dodam, że nornik polny wędruje tylko z poczęciem letniej, suchszej pory, ponieważ wiosenne lub późno-jesienne słoty utrudniają pochód. Niemniej i grzebanie nor, bodaj dla jednego przedniowania tylko na pewnej przestrzeni, jest skutkiem zbyt wilgotnej ziemi nazbyt trudne, a częstokroć nawet niemożliwe. Wędrówka więc, a raczej czem raz dalsze posuwanie się rzeszy odbywa się, co już wskazałem, tylko w suche lato lub wczesną jesienią. Własne moje jak i obce doświadczenie utwierdza mnie w tem przekonaniu. Któż bowiem przypomni sobie najścia nornika polnego w słotne lata?

Naprzód posuwanie się nornika polnego jest powolne. Niby wody spokojnie płynące czem raz dalej nawodniają suchy grunt. Rzesza norników polnych puściła się w wędrówkę, ale nie w kształcie długiej lecz niezbyt szerokiej rzeki jak piesze szarańcze, lub pokrewny nornikowi norwegski leming. I on co pewien przeciąg czasu gromadne przedsiębierze wędrówki, z tą atoli odmianą, że na dniówki czyli przestanki w podróży obierać zwykł bądź ziemię, bądź też drzewa, gdy go dzień w lesie zaskoczy. Otóż nornik polny nie idzie jednem pasmem niby rzeka, tylko na daleką przestrzeń rozprószony. Ztąd gdy się niespodziewanie w pewnej okolicy pojawi, to znajdziesz go częstokroć na kilkomilowej przestrzeni, i to do razu.

Zabór suchego a urodzajnego gruntu w posiadanie, ciężarne samice czynić zwykły. Która samica czuje zbliżającą się chwilę porodu, zostaje na miejscu dniowiska. Reszta zaś jałowych samic, jako też samców, dalej rusza. Nornik polny jak i wszyscy jego współplemieńcy żyją w wielożeństwie. Samca bynajmniej nie obchodzi los chwilowej jego małżonki.

Pewnego roku, którego, już nie pomnę, ostatnich dni września, wyjechawszy w czyste pola z chartami na polowanie, spostrzegłem na ścierni mnóstwo nor mysich, których przed kilku dniami tamże nie było. Jamnik towarzyszący mi zwykle na polowaniu, charty, a w końcu i ja, poczęliśmy rozgrzebywać mysie nory. Psy zjadały pochwycone myszy, a ja — co którą ubiję, to samica ciężarna, lub z śladami, że się już „omysiła“. Na kilkanaście ubitych przezemnie myszy, najczystszych norników polnych, rudawej sierci, długich, wałeczkowatego kształtu i z ogonkami dość krótkiemi, wszystkie były samice. Samca nie było ani jednego.

Nornik polny, jak wszystkie gatunki myszy, nader prędko się rozmnaża. W dobry suchy rok, porodzone w lecie myszęta, po niespełna dwu miesiącach stają się zdolne do rozpłodu — i wiernie to wykonują. Nic jednak ta ich płodność nie pomaga. Fatum jakieś prześladuje plemię nornika polnego. Ród jego żyje, wędruje i mnoży się, że tak powiem, okresowo. Ni ja nie pamiętam, ani też przyrodnicy nie wspominają, o kilku w jednym ciągu mysich latach. Gdzież się więc myszy podziały? Pewna część wyruszyła naprzód, a zawsze w kierunku zachodnim; reszta pozostałych, skazana widocznie na zagubę, bądź wymiera przez niepłodność, lub wytępiona bywa przez różne drapieżne zwierzęta.

Oprócz wielu tępicieli nornika polnego, nieco obszerniej omówię zachowanie się wobec niego lisa. W mysi rok, osobliwie w zimowych miesiącach, gdzie tylko pojawiły się norniki polne, zjawiają się i lisy w liczbie znaczniejszej, niźli ich wydała okolica. Jest to już obyczajem lisów, że z nadejściem zawalnej i mroźnej zimy opuszczają rodzinne górskie strony, bo tam o żer trudno, gdyż mniejszej zwierzyny, jak kuropatw i zajęcy z natury rzeczy mniej w owych lesistych i górzystych stronach. A w dodatku, o czem już

wspomniałem, nawet nornik polny tam nie dochodzi. I myszy zbożowych, będących odmiennym, stale w kraju przebywającym gatunkiem, równie stokroć mniej tam niż w chlebnych równinach. Lis zatem, instynktem wiedziony, opuszcza z nadejściem zimy górskie okolice, osobliwie w mysi rok wyprawia się na równiny, spieszy na stawy lub błota na połów żab lub piskorzy, których mnóstwo bywa po niezamarzających oparzeliskach, a w końcu na myszy polne. Gdy zdarzy się mysi rok, to już dla lisów bankiet bez końca. W miesiącu lutym, gdy się rozpoczyna cieczka, powracają lisy do swych rodzinnych nor w górach.

Obliczyć się nie da, ile myszy lis poje. Że sporo — to pewna. Z tego można wykombinować, dlaczego mysi rok nie przeciąga się w lata. I w czasie letniej wędrówki norników polnych, w czasie nocnego ich pochodu, sporo ich ginie pod zębem łasic, lisów, psów wiejskich, podczas „przednowku“ u swego gospodarza żywiących się myszami wszelkiego gatunku. I skrzydlaci prześladowcy, jak jastrząb włochaty, sowy wszystkich gatunków, wrony, sojki i gawrony tępią ich niezliczoną liczbę.

Nornik polny wytrzymuje chociażby najostrzejszą zimę. Norę, którą sobie wygrzebał, wyściela grubo słomą, tak na drobną pogryzioną i zmiętą, że miękka jak kłaki konopne. Tuż obok nory, w której sypia i przebywa, mieści się skład zapasów zboża na zimę. Ziarno bywa doborowe, jak najcelniejsze. Gdy nadejdą dłuższe słoty jesienne, skutkiem czego woda, przesiąknąwszy sklepienie nory, aż do wnętrza składu się dostaje, wilgotnieją ziarnka i „zrastają“, czyli poczynają kiełkować, a tem samem stają się niezdatne na pożywienie. Następuje więc klęska głodowa.

Śnieg, grubą warstwą pokrywający ziemię, a tem samem norę, bynajmniej nie przeszkadza nornikom polnym w ich niedalekich chodach. Często pod warstwą śniegową jakby chodniki spostrzedz można. Są to ścieżki, któremi norniki polne dążą ku oziminom, żeby i gryzieniem zielonego ich porostu i nasycić się nieco i ugasić pragnienie, albowiem myszy polne i norniki, jedynie w ostateczności gaszą pragnienie śniegiem.

Co już wyrzekłem, głównymi tępicielami norników polnych są czworonożni i skrzydlaci nieprzyjaciele, niemniej słotne jesienie lub wiosny — albowiem nornik na wilgoć bardzo jest niewytrzymały. W zimie i w ogóle w słotne lata swej zwyczajowej wędrówki nie odbywa.

Gdyby szarańcza, której ojczyzną Azya, oprócz pasterza różowego *(Pastor roseus)*, należącego do gatunku szpaków, tyle co nasze norniki polne miała tępicieli, nie czyniłaby tak wielkich spustoszeń.

Nornik polny niemniej znaczne czynicy szkody w plonach, osobliwie w zasiewach ozimych. Mimo swej płodności, skazany jest przez naturę na czasową zagubę — zanim po pewnym przeciągu lat nastąpi wtóre jego najście.

Na zakończenie dodam, że mysi rok, będący klęską dla rolników, dla myśliwych jest niemal błogosławieństwem. Zwierzyna łowna mniej w tym czasie od przeróżnych swych tępicieli bywa napastowaną. Obfitość bowiem a tem samem i łatwość o zdobycz nie zmusza psa wiejskiego, kota domowego i lisa do tępienia zwierzyny łownej mniejszej, której zwykle bardzo wiele w niemysie lata ginie.

A. Ubysz.



PUSTYNNIK W SWEJ OJCZYŹNIE A U NAS.

Z Dżulamergu w Kurdystanie przesłał Dr. L. E. Browski pod d. 1. listopada z. r. w liście do berlińskiego *Tagblatu* ciekawe niektóre szczegóły o przebywaniu pustynnika *(Syrrhaptes paradoxus)* na tamtejszych stepach. Oto, co pisze:

„Nietylko stepy Azyi środkowej, lecz także równiny Mezopotamii i Syryi są ojczyzną pustynnika. Puściwszy się drogą od Kharput na południowy Wschód ku Diarbekirowi i porzuciwszy górzysty kraj Arghany, spotykamy na dołach w porze letniej ogromne stada pustynników. W niezmiernych ilościach, całemi tysiącami, ciągną one tam, lecąc bardzo szybko i wydając szum niezwykły w locie. Słychać je już zdaleka, jak gdyby szum nadchodzącej burzy, a skoro nadlecą, robi się ciemno, jak gdyby istotnie gromem ciężarna chmura zasłoniła niebo i wlokła za sobą długi cień po stepie.

W Mezopotamii jest pustynnik ptakiem bardzo pospolitym; „Grgrlik“ zowią go Turcy i Turkomani, „Khattai“ Arabowie.

Płodność pustynnika w ciągu jego wycieczki po Europie zdaje się być znacznie większą, niż we właściwej ojczyźnie. Czytałem w zapiskach dziennikarskich nie bez zdumienia, że w gniazdach jego znajdywano po cztery jaja. Później donoszono nawet o ośmiu i dziewięciu jajach. Tutaj, w ciągu kilkoletnich wycieczek po stepach, widziałem pewnie miliony gniazd pustynnika, lecz nie zdarzyło mi się w żadnem widzieć więcej niż trzy jaja. Gniazdo pustynnika jest zresztą bardzo proste i nie kunsztowne; grzebie on tylko w piasku płytką kotlinkę, najchętniej pod jakim małym ostem, i znosi w niej jaja. Gniazda te leżą tak gęsto koło siebie, że wiele z nich ulega roztratowaniu przez ciągnące bezdrożnym stepem karawany.

Znaczną część pracy wylęgania pozostawia pustynnik gorącym promieniom wiosennego słońca, uganiając zdala od gniazda za żerem lub przyjemnościami. Nieraz przechodzi się około tysiąców takich gniazd i nie znajduje się nietylko na nich, ale i daleko na okół ani jednego pustynnika.

Jeżeli w pobliżu gniazd są osady ludzkie, lub koczujące plemiona rozbiją swe namioty, naówczas jaja pustynników dostarczają ludziom pożywienia całemi tygodniami. Gromadami ciągną oni na połów i w krótkim czasie bez trudu napełniają jajami skórzane worki. Nocną porą wyprawiają się na rabunek gniazd lisy, szakale, żbiki, sowy i inne drapieżce, zwłaszcza, że na jajach znajdzie się tu i owdzie wylęgająca je pustynnica lub nielotne jeszcze pisklęta.

Jest to niemal jedyny sposób korzystania z pustynników, gdyż polowań na nie wcale tu nie urządzają, i tylko w niektórych okolicach Mezopotamii chwytają je w porze jesiennej na włosienne sidełka i wynoszą żywe na targ. Wówczas za parę pustynników płaci się dwa i pół do pięciu „parów“ t. j. około 1 do 2 centów, a kupują je nie tyle na kuchnię, ile dla dzieci, lubiących je obłaskawiać. Mięso pustynników nie bywa bardzo cenionem - i słusznie — jest bowiem zazwyczaj chude i łykowate.

W niewoli daje się pustynnik bardzo prędko obłaskawić i nabiera zaufania do człowieka. Obciąwszy mu nieco skrzydełka, puszczają go wolno na podwórze. Przyjmuje natychmiast rzucony mu pokarm, najchętniej drobne ziarnka pszenicy i ryż, a zresztą wszystko w ogóle co jest spożywalnem, nawet resztki gotowanych potraw. Po dwóch lub trzech dniach bierze już pokarm z ręki. Biega bezustannie tam i nazad, a chwilami wydaje z siebie głos, rodzaj stłumionego, dwukrotnie powtarzanego gruchania: „Gr-gr“ — od czego też turecka nazwa pustynnika pochodzi.

Chociaż pustynnikowi później obcięte lotki odrosną, pozostaje przecież w miejscu, gdzie go przyswojono, a jeśli są gołębie, robi z nimi wycieczki i znowu do domu powraca.

Myśliwym, którzy cieszą się nadzieją, iż będą mogli kiedyś w Europie na pustynnika polować, muszę niestety z przykrością powtórzyć słowa Dantego: *Lasciate ogni speranza!* Przedewszystkiem bardzo to rzecz wątpliwa, czy ptak, nawykły do południowo-tropikalnego klimatu i odrębnych właściwości stepu, będzie mógł srogość północnych zim wytrzymać. Prawdopodobnie po pierwszych zimnych wichrach jesieni umknie do swej cieplejszej ojczyzny lub zginie w śniegach północy.

Zresztą zachowanie się pustynnika, najbardziej podobne do zachowania się europejskiej siewki, nie może dostarczyć przyjemności zamiłowanemu w swem rzemiośle łowcy. Pustynniki nie usiłują nigdy kryć się po uprawnych polach lub przysiadać na wzór kuropatw. W Europie zatem, gdzie nie ma gołych stepów, siadały na odłogach, świeżych oraninach, lub ścierniskach. Ponieważ zaś upierzenie jego zbliża się barwą nadzwyczaj do barwy ziemi, więc nawet najlepsze oko myśliwskie na odległość średniego strzału pustynnika na ziemi nie odróżni, a podejść go blisko nie można, chyba podjechać. O dosiadaniu pustynnika przed legawcem nie ma mowy; a pies ze swej strony nie wietrzy go i nie tropi tak żarliwie jak inne ptactwo. Miejsca, gdzie pustynniki dopiero co tysiącami siedziały, przebiega obojętnie, nie okazując żadnego zainteresowania.

Do pustynników na polu możnaby tylko wtedy strzelać, jeśli myśliwy widzi zapadające stado i znajduje się w tem położeniu, że może pod dobrą zasłoną, kryjąc się za wzniesieniami terenu, na odległość strzału do stada podejść. A musi naówczas bardzo się spieszyć, gdyż pustynnik, zapadłszy, nie zwykł długo siedzieć, lecz zaraz dalej leci.

Na wiosnę i w lecie ciągną stada pustynników tak wysoko, że strzał śrótem wcale ich nie dosięga. Dopiero w późnej jesieni przeciągają niżej, i do takiego stadka można się odważyć strzelić, mając pod ręką dalekonośny „czokbor“. Skutek wszakże bywa taki, że czasem padnie ze 30 ptaków naraz, lecz 9 razy na 10 strzela się daremnie, jak zwykle do gromady przelatujących ptaków, gdzie właściwie niczego na cel brać nie można.

Chcąc ubić na pewne większą ilość pustynników, trzeba na nie zasiadać o wschodzie słońca lub wieczorem w takich miejscach, gdzie przylatują pić wodę. Zasiadkę urządza się w umyślnie na ten cel wykopanej jamie, okrytej gałęziami. Pustynniki poją się regularnie dwa razy dziennie w takich miejscach, gdzie dwa różne prądy wody na mieliźnie się spotykają i krzyżują, skutkiem czego na rzece mały wir się tworzy. Im mniej takich miejsc posiada rzeka, przepływająca pustynię, tem większemi bywają stada pustynników, które tam przylatują. Nad brzegi Tygrysu przybywają ćmy nieprzeliczone. Ponieważ zaś spieszy im się bardzo do wody, więc spadają formalnie z góry zbitym słupem, jak gdyby je kto z worka wysypywał. Że strzał w taką masę okropne czyni spustoszenie, rozumie się samo przez się. Można być pewnym, że na wodę spadnie tyle ptaków, ile było śrótów w naboju.

Sądzę jednak, że na brzegach strumieni europejskich nigdy chyba pustynniki w takich masach się nie pojawią, a zresztą hekatomby tego rodzaju nie należą właściwie do rzemiosła łowieckiego i prawdziwemu myśliwcowi nigdy nie przypadną do gustu. Nakoniec i pieczyste z pustynnika, nawet na stołach mało wybrednych śmiertelników, nie będzie uważane nigdy za wykwintne danie.“

* * *

Oto relacye z Kurdystanu. A cóż piszą z Niemiec, z tych okolic, gdzie pustynniki w ubiegłym roku najczęściej były widziane?

W ogóle można powiedzieć, że nastąpiło rozczarowanie co do nadziei, iż pustynniki w Europie się zaaklimatyzują.

Dr. F. Knauer *(Mitth. des Ornit. Vereins in Wien* Nr. 10.), zestawiwszy liczne daty o ciągu pustynnika, zebrane przez Blasiusa, A. B. Meyera, Tschusi'ego, E. Schäffa i innych, kreśli obraz przelotu tego ptaka stepowego w Europie, ale wątpi bardzo o jego aklimatyzacyi.

„Z końcem marca — pisze on — i z początkiem kwietnia pojawiły się pierwsze stadka wędrowne w krajach południowego Uralu. Ztąd powędrował główny ciąg przez stepy południowaj Rosyi, Królestwo Polskie, Galicyę i wschodnie Prusy do Niemiec, Holandyi, północnej Francyi i Anglii, gdzie się pierwsze pustynniki już dnia 22. kwietnia pojawiły. Od tej głównej armii odłączył się mniejszy ciąg na południe od Karpat i trzymając się ciągle nizin, posuwał się na Szlązk, Morawię, Austryę dolną, Węgry, Krainę i Pobrzeże do Włoch, a mianowicie do Lombardyi, gdzie je 24. kwietnia i Civita Vecchia, gdzie je 15. maja widziano, wreszcie do wschodniej części Hiszpanii, dokąd 2. czerwca przybyły. Inne stada odłączyły się ku północy; w Sztokholmie widziano je 16. maja, około Bergen 28. maja. Z Anglii przeniosly się pustynniki na wyspy Szetlandzkie i Orknejskie, gdzie je 27. maja zauważano.

„Wedle wiadomości, którem otrzymał od przyjaciół z różnych stron Niemiec, pojawiały się jeszcze we wrześniu stadka pustynników w Pomeranii, Meklemburgu, Prusach Zachodnich i w Saksonii. Także w Austryi z różnych stron donoszono o nich. A podobnie jak w czasie pierwszego przelotu, tak i teraz okazało się, że pustynniki trzymają się tylko nizin, łańcuchy gór omijając.

„Bardzo niepewnemi są wszelkie doniesienia o gnieżdżeniu się pustynników w Europie. Wprawdzie rozmaite pisma łowieckie zamieściły zapiski tego rodzaju, ale noszą

one na sobie wiele cech nieprawdopodobieństwa. Mnie przysłano trzy razy jaja pustynnika i zawsze okazały się one jajami... innych kuraków lub ptaków błotnych. A chociaż nie jest to wcale nieprawdopodobnem, że pustynniki gnieździły się w miejscowościach, które sposobowi życia ich najbardziej odpowiadały, to przecież, o ile wiem, nie ma o tem całkiem wiarygodnych relacyj, i dla tego nie można mówić nawet o częściowem osiedleniu się pustynników u nas. Najodpowiedniejszemi krainami dla aklimatyzacyi pustynnika byłyby stepy południowej Rosyi, gdzie też częściowe osiedlenie się tych ptaków już nastąpiło, a ewentualnie puszty węgierskie. Na równinach Niemiec nie mógłby chyba ten bardzo płochy ptak znaleźć dość spokoju.“

St.

KORESPONDENCYE.

Śniatynka d. 6. stycznia.

(Z Krysowickich polowań.)

Czarne chmury otaczają nas do koła, zdają się rwać wszystkie węzły, które nas łączą z przeszłością, a przyszłość tak ludzkiemu oku wydaje się niepewną, że będąc słabego ducha, wiarę w nią stracić można. Wisim dziś jak Twardowski w powietrzu, ziemia nas się wyprzysięga, a niebo zdaje się nie łaskawsze. Szlachecka rogata dusza kurczy się i cierpi, cierpi za wszystko złe co było, a jeżeli ma sumienie — i za to złe, co jest jeszcze. Ale taki stan trwać bez przerwy nie może, bo by go nawet ta rogata dusza nie wytrzymała, więc w różnych zawodach życia szuka ona ożywczego powietrza, ochłody, wytchnienia, aby zaczerpnąć sił do wytrwania.

Trywialne trochę, podobno ludowe przysłowie, bodaj czy nie ze smutnej pamięci czasów saskich pochodzące mówi że: „Dobry trunek na frasunek.“ Czy to prawda, nie doświadczyłem, ale to wiem, że jak zarzucę strzelbę na ramię i posłyszę głos trąbki w kniei, frasunek jak mgła rozpływa się przedemną, a choć to śmiesznie marzyć w czwartej ćwierci XIX. wieku, zwłaszcza mając szron na głowie, przecież w takiej chwili zapominam o wszystkiem złem co mnię otacza, nawet o tej obrzydłej propinacyi, a natomiast widzę przed sobą: Wojskiego i Robaka, Sędziego i Tadeusza, a później, później i Jankiela z cymbałami i Wodzów, a ów polonez, na który „patrzeć mają młodzi“, rozwija się przedemną z księgi zaczarowanej przeszłości... Ale darmo, dziś czasy inne; pociąg świsnął, zadzwoniono, wskoczyłem do wagonu z wesołym towarzyszem podróży, i pędem pary lecimy ku Przemyślowi z nadzieją znalezienia się w kilku godzinach pod gościnnym dachem Krysowic.

Tubym powinien zawołać z poetą: „O melancholio! nimfo, niech cię porwie trzysta“, bo proszę, czyż nie można dostać melancholii, gdy o cztery mile od celu podróży jeden pociąg się spóźnił, a drugi odjechał! I tak nocą, fiakrami przemyskiemi, ledwo na 1. godz. stajemy na miejscu, ale „Brama na wściąż otwarta“ a blask świateł, bijący z okien poważnych komnat, wita strudzonych podróżą.

Nazajutrz o godzinie $6^1/_2$ wesołe grono myśliwych zasiada do śniadania, o $7^1/_2$ siadamy na kilka poczwórnych sanek i jedziemy do kniei. Wszystko to robi się tak jakoś gładko i składnie i tak „*a tempo*“, że czas liczy się na minuty i żadna z nich nie jest straconą, bo komenda krótka, dobitna. Ten ład, porządek i rygor, którego tak często brakuje naszym łowom i gospodarstwom, a którego tak bardzo brakowało naszej gadatliwej Rzeczypospolitej, trwa ciągle i bez przerwy przez trzy dni polowania, jest naturalny, widać że codzienny i widać: „że w tym domu dostatek mieszka i porządek“. Knieje, w których polujemy, znacznie odległe od domu, niektóre prawie o trzy mile, mimo tego codziennie 10—11 miotów się pędzi; możliwe to tylko przy dwóch doskonale wyćwiczonych pogonkach.

Rezultat trzydniowego polowania wykazał na rozkładzie: 24 rogaczy, 329 zajęcy i 38 lisów — ogółem sztuk 391. Na to składało się 12—13 strzelb - rezultat bezsprzecznie świetny, a jak na nasze stosunki w wschodniej części Galicyi nadzwyczajny, zważywszy do tego, że kilka rogaczy chybiono, a dużo niepoznanych puszczono bez strzału. Trzeba także wziąć na uwagę, że teren dla pogonki był nadzwyczaj niekorzystnym, gdyż skorupa lodowa pod śniegiem utrudniała wielce chodzenie, a drzewa, zwłaszcza gęste kultury szpilkowe, jedną masą lodu pokryte w skutek gołoledzi niesłychanej, stawały się w niektórych miotach prawie nieprzebyte, i trzeba było tak doskonale zorganizowanej i prowadzonej pogonki jak krysowicka, ażeby wyprzeć na strzał umiejącego z tych przeszkód korzystać szaraka.

Trzeciego dnia polowania w rewirze Czyszki, zastaliśmy w miocie 20-morgowych krzaków w polu, sejm zajęczy; zachodząc do obstawienia miotu, naliczyliśmy 10 zajęcy uciekających, nim miot został zamknięty, a po przepędzeniu, rozkład z tego jednego miotu wydał 53 zajęcy! Zaiste, miot taki w Czechach lub na Morawie byłby zawsze jednym z lepszych.

Gdybym się nie lękał dotknąć skromności gościnnego gospodarza domu, który z uprzejmością i trudem osobiście prowadził to piękne polowanie, wiele bym jeszcze mógł napisać na temat wzorowego kierownictwa; trudno się jednak wstrzymać od zwrócenia uwagi, że rezultat tak świetny polowań krysowickich jest owocem starannego chowu zwierzyny, a rzecz jasna, że byłby jeszcze lepszym, gdyby korzyści jego pojmował, a przyjemność chciał dzielić ogół. Ale jak w innych sferach zajęć lub zabaw ludzkich, tak i w sferze myśliwskiej, są, którzy lubią korzystać z cudzego trudu i zabiegów, nie pomnąc, że chwilową korzyść opłacają rzeczywistą stratą. Na to jednak nie ma rady, bo żyjemy w wieku socyalizmu: „masz, więc daj“, a bez własnego starania miło jest używać. I w ważniejszych sprawach nieraz się piecze swoją grzankę przy cudzym ogniu.

Jaki urok wywiera dom, którego ściany i sprzęty noszą niezatartą cechę przeszłości, zwłaszcza, jeżeli obok tej zewnętrznej charakterystyki, spotyka się to ciepłe, szczere przyjęcie, więcej prawie niż gościnne, tego doświadczyliśmy w Krysowicach, a obraz tych miłych dni pozostanie nam niezawodnie w pamięci, i te trąbki myśliwskie, które się

ostatniego wieczoru złożyły na koncert nad oświetlonym rozkładem zwierzyny, echem swojem brzmieć będą długo, długo w uchu naszem, aż nowa zadzwoni pobudka.

Stanisław Tarnowski.

Lwów d. 23. stycznia 1889.

(W sprawie „Przewodnika“.)

W noworocznym artykule wstępnym podnosi Redakcya sprawę wielokrotnie już w „Łowcu“ poruszaną „Podręcznika myśliwskiego, któryby jako wytrawne i praktyczne Vademecum łowca był mu doradzcą w każdej wątpliwości, nauczycielem zaufanym w braku żywego mentora“. Następnie mówi Redakcya: „Jest to w istocie rzecz zadziwiająca, że w literaturze narodu, który tak wiele się myśliwstwu oddawał, wyjąwszy niektóre świetne lecz zbyt dawne monografie — jak np. „Myśliwstwo ptasze“ Cygańskiego — nie masz ani jednego dzieła, traktującego o całokształcie mymyśliwstwa.“

Otóż w tym przedmiocie i z powodu powyższych twierdzeń Redakcyi, radbym kilka słów dorzucić.

Wdzięczność należy się Redakcyi, iż tę nader ważną dla myśliwstwa naszego sprawę poruszyła; oby ów głos nie przebrzmiał bez skutku! Zwrócić wszakże muszę uwagę, iż „żywy mentor“ w żadnym razie nie może zastąpić praktycznie, treściwie i prawdziwie pożytecznie ułożonego Przewodnika, bo ani długoletnia praktyka, ani samoistne gruntowne badanie, ani najlepsza pamięć, ani wreszcie najtrzeźwiejszy rozsądek nie mogą uchronić od indywidualnych zapatrywań, — gdy przeciwnie racyonalnie i umiejętnie ułożony Przewodnik daje sumę ogólnych wytrawnych badań i ostateczne, na doświadczeniu i nauce oparte rezultaty tychże. Dlatego też słusznie dawniejsza i teraźniejsza Redakcya oddają wykonanie takiego dzieła zbiorowym siłom, odwołują się do ogółu naszych myśliwych o radę i pomoc. Szczególniej co do terminologii łowieckiej materyał musi być nader skrzętnie w całej Polsce zbierany, a to tem bardziej, że wyrazownictwo łowieckie, szczególnie ludowe, może dać nader ważną wskazówkę przy opracowaniu innych działów takiego Przewodnika.

Z twierdzeniem Redakcyi, jakoby literatura polska łowiecka żadnego dotychczas Przewodnika nie posiadała, nie mogę się zgodzić i nie rozumię, dlaczego innych dzieł prócz Cygańskiego — niezawodnie bardzo cennego — zacytować nie chciała? Chętnie ją wyręczę, przywodząc następujące dzieła:

1. „Nauka łowiectwa“ w dwóch tomach, przez Ignacego Bobiatyńskiego, Wilno 1823. u Józefa Zawadzkiego.

2. „Gospodarstwo łowieckie z historyą starożytną łowiectwa polskiego“, przez Mikołaja Reumana, Warszawa 1845., u Orgelbranda.

3. „Przewednik myśliwca“, ułożony przez L. S. (Lucyana Siemieńskiego), Leszno i Gniezno 1848., u E. Günthera.

O dziele Reumana dał „Łowiec“ obszerną recenzyę w r. 1881. nr. 2., o dzielę Siemieńskiego w r. 1881. nr. 8, z których się dowiadujemy, że dzieła te, lubo dla dzisiejszych stosunków i wymagań łowieckich niedostateczne, są nader cennym materyałem do ułożenia Przewodnika, odpowiedniego dla dzisiejszej chwili.

Są to istotnie dzieła wielkiej dziś jeszcze wartości, a redaktorowie nowego Przewodnika zaufać im i radzić się ich mogą i powinni *).

Bobiatyński, mniejszej wartości, tylko nader krytycznie użytym być może. Obok Cygańskiego zaś postawić należy Bielawskiego „Myśliwiec“ i Ostroroga „Myśliwstwo z ogary“.

Niewątpliwie, że w sprawie Przewodnika niejeden głos jeszcze w pismie naszem się odezwie.

Seweryn Krogulski.

Kołomyja d. 15. stycznia 1889.

(Sprawozdanie Towarzystwa myśliwskiego.)

Dnia 8. b. m. odbyło się ogólne zgromadzenie członków kołomyjskiego towarzystwa myśliwych. Z odczytanego sprawozdania Wydziału za rok 1888. przytaczamy co następuje:

W roku 1888. wpisało się do towarzystwa 46 członków, z tych trzech przeniesiono a jeden wyjechał — zostało do końca roku 42, wszakże z tych 42 tylko 35 uiściło wkładki do końca roku, a 6. dłużni razem 16 zł.

Nóg ptaków drapieżnych oddano 95 par; za 86 par zapłacono 8 zł. 70 ct., a za 239 par dłużni są członkowie 23 zł. 90 ct. Spis ubitej zwierzyny oddało tylko dziesięciu. Dnia 22. października otrzymał Wydział wezwanie od krajowego Towarzystwa łowieckiego o statystyczny wykaz dotyczący naszego towarzystwa. Uczyniliśmy zadosyć temu wezwaniu, załączywszy nasze statuta i regulamina.

W upłynionym roku nie zadzierżawiano na rzecz Towarzystwa żadnego polowania, albowiem gminy Sopów i Siemiakowce, które Wydział chciał zalicytować, przedłużono dawniejszym dzierżawcom, pomimo, że Wydział chciał ofiarować znacznie wyższy czynsz.

Po odczytaniu sprawozdania uchwalono, ażeby członkom, którzy dłużni są wkładkę lub nogi drapieżników, dopóty nie wydawać kart na rok 1889., dopóki zaległości za rok 1888. nie uiszczą.

Po udzieleniu absolutoryum Wydziałowi za rok 1888. przystąpiono do wyboru Wydziału na rok 1889. i obrano jednogłośnie prezesem p. Honorata Sendzimira, zastępcą prezesa p. Emila Stechera; większością głosów zaś Wydziałowymi pp. Tytusa Taffek, Emila Filous i Władysława Rojewskiego, a zastępcami pp. Bocheńskiego i Zarembę.

H. S.

---

*) Niezawodnie — lecz szanowny korespondent sam przyznaje, że i przez niego przytoczone dzieła są „dla dzisiejszych stosunków i wymagań łowieckich wcale niedostateczne“. Sama więc erudycya w przytaczaniu dzieł dawniejszych złemu nie zaradzi. Gdyby chodziło o pogląd na dotychczasową literaturę łowiecką polską, to moglibyśmy przypomnieć szanownemu korespondentowi, że są jeszcze: W. Kurowskiego „Myśliwstwo w Polsce i Litwie“ z r. 1855.; Szlezygiera „Polowanie z wyżłem“ (1856.) i „Myśliwstwo ze strzelbą“ (1880.); Szytlera „Poradnik dla myśliwych“ (1839.) i t. d. Cygańskiego przytoczyliśmy *exempli gratia*, iż mamy „świetne zabytki“ — a Cygański stoi tak wysoko pod względem literackim i co do słownictwa łowieckiego, iż na ten cytat zasłużył. Wszystko to dowodzi tylko, że nie mamy dotąd „ani jednego dzieła traktującego o całokształcie myśliwstwa, dla dzisiejszych stosunków i wymagań łowieckich odpowiedniego“, i że nam nowego Przewodnika potrzeba. Na to zgadza się z nami szanowny korespondent, i to czyni odezwę naszą, opartą na dawniejszych odezwach Redakcyi „Łowca“, tem bardziej wyrazem żywo odczuwanej potrzeby. O zbieranie wyrazów przez lud używanych i wzbogacanie niemi słownictwa łowieckiego prosimy bardzo i otwieramy dla zapisków tego rodzaju jak najchętniej łamy naszego pisma. *Red.*

Sanok d. 20. stycznia.

(Nowe Towarzystwo myśliwskie.)

Zawiązało się u nas ubiegłej jesieni Towarzystwo myśliwskie. Liczy ono dotychczas około 18 członków. Prezesem jest Adam Wiktor, właściciel Załuża, zastępcą dr. Lemer w Sanoku. Dotychczas zadzierżawiło Towarzystwo prawo polowania na obszarze przeszło 2000 morgów w dawnych dobrach rządowych Mrzygłód, oraz lasy gminy miasta Sanok i w ogóle gmin okolicznych. Łowiectwo w naszej okolicy zyskuje na tem bardzo wiele, gdyż Towarzystwo postawiło sobie za główny cel: ochronę zwierząt łownych i wogóle prawidłową gyspodarkę łowiecką, przez kłusowników naszej okolicy niestety bardzo zdyskredytowaną. Każdemu, ktoby doniósł o wypadku kłusownictwa, przychwycił kłusownika lub w ogóle sprawdził wykroczenie przeciw ustawie łowieckiej, naznacza Towarzystwo nagrodę 5 zł. w. a. Spodziewamy się, że będzie to także przestrogą dla tych młodych naszych Nimrodów, którzy nie czują potrzeby liczenia się z przepisami ustawy łowieckiej. *h. i.*

Skałat 7. stycznia 1889.

(Orły na Podolu.)

Przyjąwszy obowiązek w dobrach skałackich, d. 1. listopada z. r., udałem się w las celem poznania granic. W kniei „Malinik“ tu i owdzie napotkałem resztki kilku sarn. Pytam więc pobereżników. ktoby narobił podobnej szkody? Odpowiedzieli, że najprawdopodobniej „wowki“.

Po kilku dniach, saniami jadąc, na linii w pobliżu leśniczówki spostrzegłem leżącą martwą sarnę. Poczynam oględziny, chcąc zbadać przyczyny śmierci siuty, i prócz wyskubanej na grzbiecie sierci i dwu dziur w okolicy żeber, inszych ran nie znalazłem. Śmiertelne rany owe pochodziły najwyraźniej nie od strzału -- więc kto je zadał? — Nie mogłem się domyślić.

Trzeciego dnia po owem zdarzeniu, sankami udałem się w najdalszą stronę lasów, a mianowicie na zrąb. Chłopak, który mnie wiózł, spostrzegłszy na jednym z dębów nasienników dużego orła, zwrócił na niego moją uwagę. Poczynam go podjeżdżać celem ubicia. Naraz pomyka dwie sarny. Orzeł, skoro to spostrzegł, zrywa się z dęba i lotem błyskawicy pędzi za sarnami, pokrywa jednę z nich i na ziemię obala. Dobiegłszy, spłoszyłem orła z dogorywającej już sarny; poczem szkodnik ten usiadł na dębie. Ubita przez orła sarna te same miała na sobie śmiertelne rany co i pierwsza, którą widziałem. Zdziwiło mnie to, wyznam otwarcie, albowiem nie spodziewałem się, żeby orły mogły ubijać sarny.

Dnia 7. stycznia 1889. r. wybrałem się w las w celu zapolowania na wilki, bowiem się pokazały. Naraz, u skraju lasu, zasłyszałem żałosne „kniazianie“ zająca — jako ma zwyczaj piszczeć, gdy go lis operuje. Ruszam więc powoli ku miejscu, skąd jęk mnie doszedł. Nic nie widać; a patrzałem po ziemi. Przeszukawszy sporą przestrzeń lasu, nic nie dostrzegłem. Aż na dalekim dębie spostrzegam orła, który szarpał martwego już zająca. Podkradam się pod drzewo, a orzeł, zajęty szarpaniem zająca, nie spostrzegł się, aż dostał cały nabój z mojej dubeltówki. Spadł na ziemię wraz z nieżywą swoją ofiarą. Obciążony tym niespodziewanym łupem, wracam na leśniczówkę, a pobereżnicy raportują mi: „Że jakijś wełykij czorni ptachy sarny po lisi honyły.“ Udałem się w owo miejsce i na wąskiej drożynie spostrzegłem znowu dwa orły, martwą sarnę szarpiące. Jednego z nich ubiłem. O ile mi się wydaje, jest jeszcze trzech podobnych skrzydlatych kłusowników w tutejszym lesie. Mam nadzieją, że i tych sprzątnę.

Ludwik Szulc, leśniczy.

(Orły, o których nam szanowny korespondent donosi, będą prawdopodobnie z gatunku „Orzeł-zyz“ *(Aquila-chrysätos)*. Orłów tych do dziś jeszcze używają ludy na Kaukazie do polowania na zające, sarny, a nawet suhaki. Ptak to nadzwyczaj drapieżny i niezmierne czyni szkody w zwierzynie. *P. R.)*

Kraków 12. stycznia 1889.

(Gdzie są kwiczoły?)

Donoszę Wam jako rzecz godną zanotowania w „Łowcu, iż tej zimy nie nadciągnęły w nasze strony ani kwiczoły, ani jemiołuchy. Jest to wypadek niezwykły. Jemiołuchy nie przybywają wprawdzie do nas regularnie, gdyż jak od lat dwudziestu obserwuję, pokazują się co dwa lub trzy lata, czasem w bardzo znacznej liczbie, czasem zaś tylko bardzo skąpo; kwiczoły natomiast przybywały rok w rok regularnie w strony N. Targu, Suchej, Makowa, Nowego i Starego Sącza, Żywca, a spuszczały się nawet niżej w okolice Myślenic, Mogilan, Izdebnika itd. Połów kwiczołów stanowi znaczny dochód naszych górali, gdyż z pewnością licząc skromnie do 60.000 zł. w roku sięgający. Nie pojawiwszy się w roku bieżącym, zrobiły kwiczoły bolesną ujmę biednym góralom. Dodać tu jeszcze muszę, że jeśli do nas skąpo nadciągnęły, sprowadzałem je z Czech, Węgier i Dalmacyi, lecz i tam w bieżącym roku wcale nie zawitały. *K.*

Sprawozdania łowieckie.

— W Zatorze odbyło się w połowie stycznia doroczne polowanie. Pierwszorzędni myśliwi w liczbie 11, reprezentujący wszystkie dzielnice Polski, brali w niem udział. Rezultat 4-dniowych łowów był bardzo pomyślnym: ubito 1120 zajęcy, 113 bażantów i 32 kuropatw, ogółem 1265 sztuk. Królem polowania został sam gospodarz hr. Aug. Potocki, który zabił najwięcej, bo 198 sztuk. Hr. Andrzej Potocki, drugi z kolei, zabił o 2 sztuki mniej czyli 196 sztuk. Pomyślny rezultat oraz serdeczne przyjęcie przez gospodarza, znanego ze swej gościnności, złożyły się na zupełne i niezwykłe zadowolenie myśliwych. *G. L.*

— W Chomiakówce, Pszenicznikach i Ostryni, dobrach hr. Karoliny Hussarzewskiej w Tłumackiem, polowano przez pięć dni w pierwszej połowie grudnia z. r. Dnia 2. grudnia ubito w Chomiakówce na czarnej stopie w ośm strzelb 1 rogacza, 16 zajęcy i 1 lisa; w dniach 7. i 11. grudnia w Przenicznikach, w dziesięć strzelb na czarnej stopie ubito 1 rogacza i 33 zajęcy; w d. 9. i 15. grudnia w Ostryni w dziesięć strzelb na śniegu 2 rogacze 40 zajęcy i 2 lisy. *O. Doschot.*

— W Tyśmienicy, dobrach Artura hr. Potockiego z Buczacza, w rewirze Kłubowce, odbyto d. 20. grudnia polowanie w 15 strzelb i ubito na śniegu 3 rogacze, 27 zajęcy i 1 lisa.

W tychże samych dobrach w rewirze Podpieczary polowano d. 21. grudnia z. r. w dziesięć strzelb i ubito 1 rogacza, 29 zajęcy i 3 lisy. *O. Doschot.*

— W Pałachiczach, własności pana Oktawa Doschota, w rewirze Zalesie, odbyło się dnia 14. grudnia z. r. polowanie w szesnaście strzelb i ubito na śniegu 2 rogacze,

79 zajęcy i 5 lisów. W porównaniu z zeszłorocznem polowaniem w tym rewirze w analogicznej porze i warunkach, rezultat ten nazwać można bardzo dobrym.

— W Płotyczy (pow Tarnopolski), własności pana Juliusza Korytowskiego, polowano dnia 28. grudnia z. r. w siedm strzelb na śniegu w rewirze „Czernichów“ i ubito 2 rogacze, 20 zajęcy i jednego lisa. Pora nie była korzystna. Szron opadający z drzew wystraszył zwierzynę z lasu; sarn widziano kilkanaście. Po liniach poustawiano żłóbki pod daszkami z koniczyną. W tymże samym majątku dnia następnego polowano w rewirze „Jankowce“ w ośm strzelb i ubito 1 rogacza, 28 zajęcy i 1 lisa. Stan zajęcy jest większy niż w poprzednich latach. *Mieczysław Konopacki.*

— W Bukównie, (w pow. Tłumackim), własności p. Stanisława Cieńskiego, polowano d. 9. stycznia na śniegu w ośm strzelb i ubito 1 dzika, 8 rogaczy, 4 zające i 1 lisa. Podnieść tu należy bardzo ładny stan sarn. bo około 80 sztuk na przestrzeni 800 morgów. W każdym miocie urządzono lizawki. Było to od kilku lat pierwsze polowanie. *Julian Puzyna.*

— W Kolendzianach, majątku p. Kornela Horodyskiego, w rewirze „Królewski miot“ odbyło się d. 5. stycznia polowanie. W dwanaście strzelb ubito na śniegu dzików 4, rogaczy 3, zajęcy 11. Okiść nadzwyczajna utrudniała zadanie nagonki, jakoteż na niektórych liniach stanowiska myśliwych były bardzo zakryte drzewami, pochylonemi ku ziemi. *Władysław Przybysławski.*

— W lasach Stanimirskich majętności p. Władysława Tchórznickiego, odbyło się dnia 29. grudnia z. r. jednodniowe polowanie na przestrzeni obejmującej 250 morgów. Od lat kilku jestem uczestnikiem łowów tak w rewirach należących do klucza Pohoryleckiego jak i w lasach metropolii ruskiej, w których p. Tchórznicki polowanie dzierżawi. Rezultat polowań dawniejszych bywał rozmaity, ale ostatni przeszedł wszelkie oczekiwania. Polowaliśmy w 6 strzelb, a po 118 strzałach znalazło się na rozkładzie 70 zajęcy, 2 lisy, 1 kozioł. Nadmienić wypada, że mnóstwo zajęcy wymykało skrzydłami w pole, gdyż przy małej liczbie myśliwych niepodobnem było branych miotów dokładnie obstawić. Stan zwierzyny w lasach tutejszych z każdym rokiem znacznie się powiększa, a to dzięki staraniom samego właściciela, który chętnie ponosi wszelkie wydatki, jakich utrzymanie staranne łowiectwa nieodzownie wymaga.

Władysław z pod Lwowa.

— W Czarnołożcach, własności kniazia Juliana Puzyny, polowano d. 4. stycznia w trzynaście strzelb i ubito 8 rogaczy, 35 zajęcy i 2 lisy. Oprócz tego strzelano do 5 sztuk dzików, które flanką uszły. Podnieść tu należy, iż w skutek bardzo silnej okiści nagonka równo iść nie mogła i dużo zwierzyny przemykało. *O. Doschot.*

— W Kokotowie, własności Dr. Larysz Niedzielskiego, w rewirze Śledziejowice, odbyto d. 12. stycznia polowanie w dwanaście strzelb i ubito na śniegu 1 rogacza, 160 zajęcy i 1 kuropatwę.

— W Staniątkach, na terytorjum spółki Staniąteckiej polowano dnia 8. stycznia i w ośm strzelb ubito na śniegu 51 zajęcy. Dr. *St. Larysz Niedzielski.*

Z Bełzkiego. Polowanie zimowe towarzystwa myśliwskiego Bełzkiego odbyło się w dniach 11. i 12. stycznia przy współudziale siedmiu towarzyszy. Pierwszego dnia wzięto 7 miotów, w których padły 2 dziki, 1 kozioł, 2 lisy i 8 zajęcy. Drugiego dnia wzięto 8 miotów, w których padło 5 dzików, 2 kozły i 5 zajęcy. Razem więc 7 dzików, 3 kozły, 2 lisy i 13 zajęcy. W pierwszych paru miotach każdego dnia pierwszy strzał był do dzików, dlatego mniej ubito kozłów, lisów i zajęcy.

Polowanie jesienne odbyło się dnia 10. listopada na czarnej stopie. Wzięto 7 miotów, w których padło 3 dziki, 2 kozły, 6 lisów, 3 zające i jarząbek. Przekonaliśmy się tego roku, że ogólny stan zwierzyny jest znacznie większy, niż w pierwszych dwóch latach, od którego to czasu Towarzystwo nasze dzierżawi polowanie w lasach bełzkich. *W. K.*

— W Hermanowicach, majątku p. Jana Rakowskiego, odbyło się d. 12. stycznia w ośm strzelb doroczne polowanie, na którem padło 24 zające, jeden kozioł i 3 lisy. Dano około 80 strzałów. Przykry dzień wietrzny i niemożność obsadzenia flank utrudniały polowanie; wiele zajęcy wymknęło się w pole. Kłusownictwo nie znajduje u nas węDzidła i udaremnia w znacznej części zabiegi, czynione w celu rozmnożenia zwierzyny. Pomimo tego knieja Hermanowicka, licząca 160 morgów, cieszy się pięknym zwierzostanem, dzięki oszczędzaniu jej, podawaniu ofitej karmy w postaci koniczyny i owsa w snopkach, oraz urządzaniu lizawek, czego sam właściciel, prawdziwy miłośnik łowiectwa, bardzo ściśle pilnuje. *A. P.*

— W Krośniewicach, w Królestwie polskiem, odbywało się polowanie w dniach 10. do 14. grudnia z. r. Pomimo niesprzyjającej w ciągu pierwszych dwóch dni pogody, dziesięciu myśliwych ubiło: 565 zajęcy, 92 bażanty, 36 kuropatw, 1 kozła i 1 lisa.

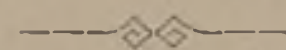
— W Prażce, w powiecie Wieluńskim w Królestwie polskiem w dobrach hr. Potockich, polowano w dniach 10. i 11. stycznia. W pierwszym dniu padło 92 zajęcy a w drugim 180 zajęcy i 4 rogacze. Prażka posiada 50 włók lasu dobrze pod względem łowieckim zagospodarowanego.

— Z Poznańskiego i Prus Zachodnich dochodzą nas także wiadomości o niektórych polowaniach.

Na polowaniu odbytem w Chrustowie z przyległościami ubito w dniu 15. stycznia w 9 strzelb 125 zajęcy i 3 lisy. Na polowaniu w majętności Potulice p. Nakłem padło 183 zajęcy. W Łysomicach pod Toruniem, majątku p. Edwarda Donimirskiego, ubito 63 zajęcy. Na polowaniu w dniu 7. stycznia odbytem w Topólnie w pow. świeckim, zabito 161 zajęcy i 3 lisy. W Gułtowach, majętności hr. Sew. Bnińskiego, zabito dnia 19. stycznia w ośm strzelb 1 rogacza, 165 zajęcy i 24 bażantów. Na polowaniu w Golejewku u hr. Czarneckiego zabito w 9 strzelb w 3 dniach 1020 zajęcy. W Kobylempolu zabito d. 12. stycznia 120 zajęcy w 10 strzelb.

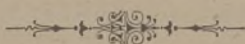
Jak z tego widać, knieje myśliwskie w Poznańskiem obfitują w mnogość zajęcy, i pod tym względem relacje z polowań tamtejszych lepiej się przedstawiają niż nasze.

Polowanie na zające w obrębie rejencyi poznańskiej skończyło się już z dniem 19. stycznia.



Sprostowanie. Szanowny delegat stryjski gal. Tow. łowieckiego upewnia nas, iż na polowaniu w Rudnikach z d. 15. listopada z. r., o którem donieśliśmy na podstawie specyalnej relacyi w styczniowem numerze „Łowca“, nie padło pięć dzików i przestrzega nas przed relacyami przesadnemi. Upraszamy też szanownych naszych korespondentów, ażeby nam tylko ściśle sprawdzone daty komunikowali.

Redakcya.



KRONIKA.

Cesarskie łowy. W rewirach Mürzthal'u bywają corocznie około Bożego Narodzenia lub w pierwszych dniach stycznia odstrzeliwane nadliczbowe łanie. W tegorocznych łowach, które się w pierwszych dniach stycznia odbyły, najszczęśliwszym był śp. arcyksiążę Rudolf, który w pierwszem polowaniu 3 łanie i 2 cieląt, a w drugim 9 łani i 3 cieląt ubił. Cała liczba ubitej zwierzyny wynosiła: 2 jelenie dziesiątaki, 54 łanie i 7 cieląt. Jeden z jeleni zabił się w skoku, 4 łanie postrzelone ubito później.

Jelenie na Węgrzech. W ubiegłym sezonie łowów na jelenie, ubito w ogóle w Węgrzech 514 jeleni. Z tych 58 przypada na same rewiry cesarskie w Gödölö, gdzie cesarz położył dziesięć sztuk, a między tem jednego szesnastaka.

Wyprawy naukowe. Członkowie znanej wyprawy pułkownika Przewalskiego, który położył tyle zasług w dziedzinie nauk przyrodniczych i etnografii, wrócili po śmierci swego kierownika do Petersburga. Dalsza ich ekspedycya naukowa w głąb Azyi nie będzie wszakże zaniechaną. Zapewniają, że w początkach najbliższej wiosny ekspedycya w nowym składzie uda się do Tybetu i starać się będzie dotrzeć aż do L'Hassy, sławnej i dotychczas dla Europejczyków niedostępnej siedziby wielkiego Dalaj-Lamy.

Znany podróżnik francuski po Azyi, p. Martin, znajdujący się obecnie w Petersburgu, przedsiębierze także ekspedycyę do Chin i Tybetu, a następnie zamierza powrócić śladem Przewalskiego przez Mongolię i Syberyę do Rosyi.

Do Afryki Wschodniej, a mianowicie do krainy Witu wyruszyli podróżnicy niemieccy Andrzej Kuenzel, inżynier Gerstaecker i Stransky.

Cech rybacki. Pisma warszawskie donoszą, iż kilku z poważniejszych rybaków warszawskich podniosło myśl wskrzeszenia cechu rybackiego, który tam istniał już przed laty, jak o tem świadczą akta i chorągiew cechowa, złożone w magistracie warszawskim w roku 1854. przez ostatniego starszego zgromadzenia, Tomasza Zawarskiego. Przyczyną upadku cechu było zniesienie monopolu handlu i połowu ryb, przysługującego jego członkom, zarząd zaś miasta stracił prawo do pobierania opłaty od rybaków za połów ryb w Wiśle od czasu wejścia w życie ustawy, dozwalającej każdemu z mieszkańców swobodne łowienie ryb w rzece. Obecnie, gdyby udało się wskrzesić rybakom cech rybacki, głównem zadaniem ich byłoby zarybianie Wisły łososiami i innemi gatunkami ryb, szybko się mnożącemi, następnie ochrona od połowu drobniutkich rybek, oraz kształcenie młodzi rybackiej w rybołowstwie, w którego zakres wchodzi ryboznawstwo, plecenie sieci, sposoby łowienia, transportowanie ryb i konserwowanie w porze gorącej, a nadto wspólne wydzierżawianie stawów okolicznych, i wspólne rybołowstwo na całej rozciągłości Wisły, aż do granic państw obcych.

Ofiara wilków. Warszawianin, Ksawery Lityński, kandydat praw, czasowo przebywający pod Orenburgiem, w czasie przejazdu z jednej miejscowości do drugiej, padł tej zimy ofiarą napadu wilków. Rozjuszone zwierzęta pożarły nietylko konie, lecz także stangreta i nieszczęśliwego młodzieńca, liczącego 28 lat wieku.

Carski zwierzyniec w Skierniewicach ma być otoczony grubą siatką drucianą, na trzy łokcie wysoką, w obwodzie ośmiu wiorst. Koszt tego ogrodzenia oceniono na 60.000 rubli.

Słoń przedpotopowy. Z głównego miasta gub. Jenisejskiej, Krasnojarska, donoszą, że o 200 wiorst od pobrzeży Oceanu Lodowatego odkryto zmarzłego mamuta czyli słonia przedpotopowego, zachowanego nawet ze skórą. Roztopy letnie wyłoniły z lodów łeb tego olbrzyma w królestwie zwierząt. Mieszkańcy sąsiedniej tundry, wiedząc o nagrodzie przez gubernatora Anuczyna, wyznaczonej za odkrycie szczątków stworzeń zaginionych, strzegą pilnie mamuta. Podczas wiosny r. z. znaleziono również szkielet słonia przedpotopowego na brzegu Jeniseju, o 600 wiorst od miasta Jenisejska.

Nadzwyczajne mrozy zapanowały około 20. stycznia b. r. w krajach zakaspijskich. Z Merwu doniesiono, że ludność cierpi nadzwyczajnie z tego powodu, a w stepach leżą całe stada kóz zamarzniętych.

Napad niedźwiedzia. W zoologicznym ogrodzie w Sztutgardzie został niedawno temu dozorca ogrodu napadniętym znienacka przez niedźwiedzia malajskiego, gdy mu żer do klatki przyniósł. Na krzyki o pomoc przybiegli inni dozorcy, którzy zdołali niedźwiedzia, bijąc go żelaznemi drągami, odpędzić od nieszczęśliwej ofiary. Rany dozorcy były dość ciężkie, szczególniej w rękę i łydkę; cierpiał również wiele od zgniecenia, lecz został wyleczony.

W klatce tygrysiej. W Strasburgu rozegrała się w bawiącej tam menażeryi straszna prawdziwie scena. Do klatki mieszczącej dwa czternastomiesięczne tygrysy wszedł pogromca zwierząt Batty Hempel, człowiek młody i znany z swej sztuki jak i odwagi zarazem. Był to pierwszy jego popis przed publicznością sztrasburską. Batty ułaskawieniem obu tygrysów, jak i dwu lwów młodych, zajmował się w menażeryi Berga od dni jedenastu. Batty zazwyczaj odbywał lekcye z bestyami w koszuli tylko, lecz występując po raz pierwszy przed publicznością, wdział na siebie kostium huzarski, który zapewne stał się powodem, iż oba tygrysy rzuciły się na swego nauczyciela. Jeden z nich, większy, skoczył mu na piersi i powalił go na kolana. Z piersi publiczności dobył się jeden okrzyk zgrozy. Służba rzuciła się ku klatce z żelaznemi sztabami, chcąc Battego ratować, ten jednak silnym rzutem ręki sam się uwolnił z uścisków drapieżcy, przygniótł go do ściany i za gardło ścisnął, drugą ręką okładając oba tygrysy szpicrutą. Za chwilę oba drapieżce upokorzone wcisnęły się w kąt klatki, spoglądając z trwogą na swego pogromcę. Ten tymczasem z najzimniejszą krwią, godną podziwu, zrzucił z siebie błyszczący mundur i pozostawszy w koszuli, rozpoczął teraz ewolucye z poskromionymi tygrysami, oraz z dwoma lwami, które do klatki pod koniec jeszcze wpuścił. Dzielny poskramiacz oprócz kilku głębszych draśnięć nie odniósł żadnego uszkodzenia; za to mundur jego przedstawiał widok godny politowania.

O mieszańcach z wilka i psa podaje ciekawe szczegóły *D. Jäger Ztg.* W zwierzyńcu Nill'a w Sztutgardzie utrzymywano przez dwanaście lat schwytaną żywcem wilczycę. Dopuszczono do niej raz tylko, przed pięciu laty, silnego psa owczarskiego. Miała po nim dwoje szczeniąt. Nabył je pewien miłośnik psów z Brukseli i dochował się z nich, a mianowicie od psa i dobranej mu suki owczarskiej, pięknego pokolenia psów wilczych, które już na kilku wystawach zdobyły pierwszorzędne nagrody. Potomek wilczycy samej nie dał się nałamać do należytego posłuszeństwa i zachowuje zawsze pewien rys dzikości; suka natomiast jest posłuszna i czujna, podobnież i jej potomstwo.

Drapieżność i krwiożerczość tygrysa bierze w nim częstokroć górę nad przyrodzonym wszystkim kotom wstrętem do wody. Oto, co opowiada o tem jeden z podróżnych w Indyach wschodnich:

„Pewnego wieczora zawinęliśmy do małej przystani na rzece Brahma-putra i przepędzaliśmy dla chłodu noc na pokładzie. Rozmowa toczyła się o nagłej śmierci jednego z naszych towarzyszy, którego ciało złożone w przywiązanej do statku łodzi, miało być nazajutrz na ląd wysadzone i pogrzebane. Rozmowa urywała się coraz bardziej, nareszcie zapanowało milczenie — i sen ogarniał wszystkich. Wtem jeden z podróżnych, który, nie śpiąc wcale, stał oparty o galeryjkę pokładu, usłyszał podejrzany plusk, jak gdyby ktoś do wody skoczył i dalej płynął. Wytężywszy wzrok, ujrzał istotnie jakieś zwierzę, płynące od lądu ku łodzi z nieboszczykiem, a w krótce obudził nas wszystkich krzyk przeraźliwy, który wydawali pozostawieni w łodzi dwaj wartownicy. Cóż się stało? Pod łódź podpłynął olbrzymi tygrys i starał się wtargnąć do środka. Jeden z wartowników stracił głowę, wskoczył do wody i już się więcej nie pokazał, drugi chwycił wiosło, i bijąc tygrysa po łbie i łapach, bronił mu przystępu. W mgnieniu oka pochwyciliśmy strzelby i rozległ się huk kilku strzałów. Ugodziły one zuchwałego rabusia. Rycząc przeraźliwie, puścił łódź i płynął ociężale ku lądowi, a nazajutrz znaleźliśmy go martwego nieopodal brzegu.

„Innym razem, polując na ptaki, byłem świadkiem, jak tygrys przepływał rzekę Dunsri. Nie mając w lufach kuli, którąby go mogła dosięgnąć, przypatrywałem się tylko przez pewien czas rabusiowi, jak odważnie pruł wodę szeroką piersią. Od czasu do czasu wychylał się tygrys niemal do połowy z wody, a przytem wstrząsał potężną głową i bił przedniemi łapami wodę. Wiedziony ciekawością, co mogą znaczyć

te ewolucye, podszedłem bliżej i ujrzałem ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, że głowę tygrysa otaczał gęsty rój bąków. Pływał on czas jakiś tam i sam, widocznie chcąc się uwolnić od natrętnych nieprzyjaciół, wyskoczył wreszcie na brzeg i wraz z chmurą bąków znikł w zaroślach.

„Trzecim razem przybiegłem nad rzekę Dungapore, zwabiony tam krzykami i przestrachem rybaków, którzy pod wieczór sieci zaciągali. Porzucali oni swe zajęcie i uciekali na brzeg, gdyż ich wystraszył płynący przez rzekę tygrys. Miałem wówczas kulę w mej odtylcówce, posłałem ją zatem zuchwałemu rabusiowi, który też czemprędzej ku przeciwległemu brzegowi umknął i tam się schronił. Gdyby nie ta interwencya, byłby niezawodnie zajętych połowem rybaków napadł.“

Ucieczka tygrysa. W Brisbane, w Australii, wyrwał się niedawno z menażeryi wielki tygrys. Rzucił się na czyszczącego klatkę dozorcę, a gdy ten uciekł na ulicę, dziki zwierz rzucił się za nim w susach szalonych. Przechodnie w trwodze wielkiej pochowali się do domów, tygrys zaś, dosięgnąwszy dozorcy, jednem uderzeniem łapy powalił go na ziemię, a następnie począł szarpać potężnemi pazurami. Dostrzegł to pogromca Higgins, podbiegł więc z biczem i chłoszcząc zwierzę, zmusił je do opuszczenia ofiary. Biczem został też tygrys zapędzony z powrotem na podwórze menażeryi, a potem do klatki. Dozorca żyje, ale strasznie pokaleczony.

Egzekucya słonia. W cyrku Forepaugh'a w Filadelfii popadł jeden ze słoni w taki szał, że w obronie ludzi i innych zwierząt trzeba go było zgładzić. Pytanie tylko zachodziło jak? Bo chociaż olbrzym miał na nogach łańcuchowe pęta, nikt nie miał odwagi wykonać wyroku. Chciano w pierwszej chwili użyć elektryczności, obawa jednak przed niebezpieczeństwem, jakie groziło śmiałkowi, któryby się odważył przysunąć z drutem do „Chiefa“ (tak się słoń nazywał), zmusiła do porzucenia tej myśli. Broń palna nie działała także; kula bowiem grzęzła w twardej skórze zwierzęcia bezskutecznie. Po długich naradach postanowiono słonia udusić. Zarzucenia pętlicy podjął się młody Ferepaugh, syn właściciela cyrku. Następnie do dwóch końców liny, 12 stóp długiej i na cal grubej, zaprzągnięto dwa najłaskawsze słonie, które na dany znak całą siłą pociągnęły każdy w swoją stronę. „Chief“ runął na ziemię i wśród straszliwego ryku po paru chwilach legł bez życia. „Chief“ po śmierci „Jumbosa“ był najpopularniejszym słoniem w Ameryce. Wysokim był na $6^1/_2$ stóp, ważył 10.000 funtów i liczył 25 lat. Nabyty został w Niemczech w wieku 9ciu lat, nigdy jednak nie dał się oswoić i był przyczyną śmierci wielu dozorców. Ciało słonia dano prof. Leidy, a ten po wypchaniu ustawił go w gmachu miejscowej akademii przyrodniczej.

Fajerwerk myśliwski. Co robić z norami lisiemi, szczególniej w górskich okolicach, gdzie się kociołka dogrzebać nie można, a wykurzanie także nic nie pomaga? Pewien dowcipny myśliwy zastosował do tych nor motodę, używaną przez kolonistow północnej Afryki przeciwko jeżatce czubatej *(Hystrix cristata)*, która również w norach przemieszkuje i w ogrodach warzywnych, a szczególniej na grzędach melonów, wielkie czyni spustoszenia.

Było to w lutym, w czasie cieczki lisiej. W norze można się było spodziewać nietylko pani mykiciny, przygotowującej się do rodzinnych obowiązków, ale także kilku galantów lisiego rodu, smalących do niej cholewki. Nasz myśliwy poszedł o zakład, że wszystkich z jamy na strzał wypędzi. „Oj, nie damy temu rady!“ — mówił stary leśny; a gdy ujrzał, że się myśliwi bez dżaganów i łopat do jam wybierają, tem bardziej kręcił głową i przepowiadał, że nic z tego nie będzie.

Gdy wyprawa stanęła na miejscu, zakomenderował nasz myśliwy, aby z palcem na cynglu czuwać przy wylotach jamy, a sam wydobył z wózka rodzaj klatki czy łapki. Cóż tam było? Ogromny, żywy... szczur, któremu długi ogon wystawał przez szczeble. Myśliwy wziął następnie długą, wąską tutkę papierową, którą na sznurku do szczurzego ogona przywiązał, zapalił cygarem wystający z tutki lont i, przystawiwszy klatkę otworem do okna lisiej jamy, puścił udekorowanego w ten sposób szczura.

Stary leśny i śmiał się i kiwał głową, a chcąc się tym czarom bliżej przypatrzyć, legł na ziemi i zaglądał do nory. Oszołomiony szczur pobiegł zrazu naprzód, ale wkrótce stanął, żeby się w swem nowem położeniu rozglądnąć. W tejże chwili rozległ się huk podziemny, fontanna iskier obsypała nos starego leśnego, a wkrótce wypadł z nory młody mykita i zrzuciwszy przestraszonemu leśnemu baranią czapkę z głowy, posunął żwawo w zarośla.

Cóż się stało? Strzał wypadł ze szczurzego ogona; na sznurku bowiem był przywiązany fajerwerk, t. j. „szmermel“ z wybuchającemi od czasu do czasu strzałami. Gdy jeden z tych strzałów huknął i twarz leśnemu osmalił, pomknął szczur jak szalony w sam środek lisich galantów, a gdy tam jeszcze świeżemi sypnął iskrami, rozbiegli się galanci jak oparzeni. Przy dwóch innnych wylotach obszernej jamy lepiej na nich czuwano, a więc dwóch zadarło nogi, skoro tylko na świat się wychylili. W podziemiu zaś słychać było dalsze strzały, i sama pani mykicina, wypłoszona z gniazda, legła także od celnego strzału. Tak więc w krótkiej stosunkowo chwili cały podziemny zamek państwa mykitów był opróżniony, a zakład wygrany.

Użycie szmermeli z lontami, czy to w ten czy w inny sposób, może przy wykurzaniu lisów z jamy z korzyścią być użyty.

Odważna łowczyni. Z Kalkuty donoszą *Timesowi*, że w górnych Indyach poluje na tygrysy lady Ewa Quin, i że już pięć tych strasznych drapieżników ubiła.

Ochronę pustynników uregulowano już prawnie w Anglii. Wydanym został mianowicie t. zw. Sand-Grouse-act, który zabrania od 1. lutego polować na pustynniki. Byle się tylko osiedliły!

Kormorany jako pomocnicy rybaka. P. Robert Fortune, autor „Trzyletniej podróży po Chinach“ opisuje szczegółowo używanie zalatujących i do nas kormoranów *(Halieus carbo)* do rybołowstwa.

„Bardzo oryginalnym jest sposób — pisze p. Fortune — jak w Chinach łowią ryby z pomocą kormorana. Ptaki to w istocie zadziwiające. Na kanałach i jeziorach wewnątrz Chin nadybywałem je wiele razy, i gdybym nie był własnemi oczami patrzył się na ich nadzwyczajne usługi, nie byłbym skłonny wierzyć temu, co o nich czasem po książkach piszą.

„Pierwszy raz widziałem kormorany na kanale w oddaleniu kilkomilowem od miasta Ning-po. Udawałem się właśnie do pewnej sławnej świątyni, ażeby w okolicach jej robić poszukiwania i uzupełnić me przyrodnicze zbiory. Skorośmy kormorany ujrzeli, kazałem sternikowi ściągnąć żagle i zatrzymaliśmy się chwilę, ażeby móc te dziwne ptaki swobodnie obserwować. Naprzeciw nas płynęły dwa małe czółna. Na każdem z nich siedział rybak, a na krawędzi czółna 10 do 12 kormoranów. Skoro czółna dostały się na rybną głębinę, puszczono ptaki. Wyuczone były tak dobrze, że na dany znak rozbiegły się natychmiast po wodzie i poczęły czychać na ryby. Oczy ich, któremi śledzą, są prześliczne, niebieskawo-zielone. Zobaczywszy rybę, dają nurka ruchem błyskawicznie szybkim, a skoro ją raz ostrym swym dzióbem pochwycą, już się z niego wydostać nie może. Z zdobyczą w dzióbie wypływa kormoran na powierzchnię i na głos Chińczyka spieszy z nią ku czółnu. Okazuje się przytem tak posłusznym jak pies, płynie za swym panem, daje się bez oporu wciągnąć do czółna, a gdy mu rybę odbiorą, wylatuje natychmiast po nową. Najdziwniejszem jest to, że jeśli jeden z kormoranów pochwyci rybę wielkich rozmiarów i trudno mu ją w dzióbie utrzymać i płynąć z nią, natenczas przybywa mu w pomoc drugi kormoran, i we dwójkę transportują zdobycz do łodzi. Czasem okazuje kormoran pewną ociężałość, lub bawi się tylko, pływając tam i nazad bez celu. Wtedy Chińczyk długim drążkiem bambusowym, służącym mu za wiosło, uderza o wodę w pobliżu bawiącego się ptaka i łaje go gniewnie — a potulny kormoran powraca natychmiast do swych obowiązków. Każdy ptak ma pętlę ze sznurka na szyi, tak sztucznie zawiązaną, że nie może się nią udusić, a przecież nie dozwala mu ona połknąć złapanej ryby.“

Pod zębami krokodylów. W mieście Bona w Algierze odegrała się niedawno w miejscowem akwaryum przerażająca scena. Tłumy publiczności zbierają się tam zwykle dla oglądania siedmdziesięciu krokodylów, którym sam właściciel, p. Pernolet, rozdaje żywność. Nie posiada on zwykle innej broni prócz kija, którym odpędza natarczywe stworzenia.

Pewnego dnia siedział na grzbiecie największego krokodyla, i odwróciwszy się, sięgał po mięso, podawane mu przez pomocnika. Wtem jeden z potworów jaszczurczych chyłkiem popełzał ku niemu i chwycił go paszczą poniżej piersi. Krzyk przerażenia rozległ się w akwaryum. Służba i widzowie zaczęli bić potwora, ale ten nie chciał puścić swojej ofiary. Pernolet pośliznął się i padł wśród krokodylów, które rzuciły się na niego z wściekłością.

Wśród publiczności nieopisana zapanowała panika, wszyscy zaczęli uciekać, nie myśląc o dalszej obronie nieszczęśliwego człowieka; zdawało się, że jest stanowczo zgubiony, a jednek Pernolet z cudowną przytomnością zdołał się wydostać z pod zębów zażartej gromady. Choć ciężko poraniony, uratował życie.

Jest to jeden z licznych dramatów, odgrywanych w menażeryach i i cyrkach dla zarobku i z przyjemności. Między pogromcami i akrobatami są także ludzie rycerskiego ducha, którzy wierzą w potęgę swej woli i nie lękają się śmierci. Ale ci sami rycerze na polu bitwy okazaliby się może tchórzami.

Hodowla ostryg w Holandyi zawiodła w roku ubiegłym. Późne mrozy jesienne sprawiły, iż wiele ostryg wyginęło, ponieważ zaś lato było chłodne, pozostałe rosły zbyt wolno, tak, że w handel dostają się jedynie drobne i nikłe ostrygi. Podobnież we Francyi i Anglii było ubiegłe lato na wzrost ostryg za chłodne, więc smakosze muszą się drobiazgiem zadowalniać i drożej zań płacić.

Na wybrzeżach Stanu Nowojorskiego w Ameryce wzrasta natomiast z rokiem każdym hodowla ostryg. Obecnie zajmuje się już nią około 7000 osób, a kapitał obrotowy, angażowany w tem przedsiębiorstwie, liczą na 5 milionów zł. w. a.

Pies Bismarka. Znany wszystkim Niemcom i w bronzowych przyciskach do papieru uwieczniony *Reichshund*, Tyras II.... zdechł. Wieść ta krąży po wszystkich pismach niemieckich, zaopatrywana rozmaitemi komentarzami.

Tyras II. był jak wiadomo następcą wielkiego Tyrasa I., również psa bismarkowskiego. Obok dynastyi cesarskiej i kanclerskiej, stanowią te Tyrasy popularną w Niemczech psią dynastyę. Tyras I. zginąć miał podobno od mściwej ręki, która mu truciznę zadała; o śmierci Tyrasa II. krążą głuche, lecz nieprawdopodobne pogłoski. To tylko pewna, że nie uległ on prawu starości, gdyż liczył dopiero 8 czy 9 lat. Jeden z fejletonistów berlińskich tłumaczy śmierć Tyrasa w ten sposób:

„Tyras, ta wierna, współczująca bestya, nie mógł już dłużej wytrzymać strasznej opozycyi, jaką jego panu stawiają. Tak mu było dobrze we Friedrichsruhe — aż tu ks. Bismark zabrał go z sobą do Berlina. Ileż przykrości i dokuczań! Ten Richter, ten Bamberger i jak się tam te wszystkie kolonialne sprzeki nazywają, ze swoim „podejrzanym patryotyzmem“ — tegoby żaden koń nie wytrzymał, a cóż dopiero porządny, dobrze wychowany pies!

„Zachodzi pytanie, kto teraz będzie *Reichshund'em?* Nic nie słychać, ażeby Tyras II. zostawił był prawowitego potomka — dynastya wygasła — a tu *Reichshunda* potrzeba. Zdaje się, że Tyras III. wyjdzie znowu z wolnego wyboru kanclerza, podobnie jak Tyras II, który nie był potomkiem Tyrasa I. Nic też dziwnego, że wszystkie rasowe psy w Niemczech są teraz w niezwykłem rozdrażnieniu.“

Co za wiatr! (Podsłuchane). — Wiesz, jakiego wyżła mam teraz... Cudo nie pies. Co za wiatr! Niech go kule biją!

— Już to nie lepszy od mojego Hektora. Temu żaden pies nie dorówna. Wyobraź sobie, kiedyś idę ulicą Teatralną, a on staje do listonosza, podnosi łapę — ogon jak drut — i ani drgnie. Listonosz się przeląkł i także stanął. Ja, nie wiedząc, co to znaczy, mówię: „Pif!“ a on łap za torbę listonosza. Przybiegam... no i co powiesz? W torbie był list do Redakcyi „Łowca“ z doniesieniem, że na pewnem polowaniu ubito 120 zajęcy. Co za wiatr!

— Dzieciństwo! Mój Nero stawał także do listonosza. A wiesz dlaczego? Dlatego tylko, że się nazywał Sebastyan Zając.

Od Administracyi.

Pozwalamy sobie przypomnieć Szanownym członkom gal. Towarzystwa łowieckiego, że w myśl uchwały Wydziału Towarzystwa z d. 16. października z. r. mają być wkładki, stanowiące prenumeratę „Łowca“, zaraz w pierwszych miesiącach roku uiszczane; upraszamy przeto o łaskawe nadesłanie tychże, bo wydawnictwo ponosi straty, nie mogąc nakładu wcześnie uregulować.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie